Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 25. Kwietnia 1880 r. **Tom X.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 17.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

DOBRE CZY ZŁE SYMPTOMATA.

Wynik procesu socjalistów w Krakowie należy już do przeszłości. Tragedja z lochami więziennemi, „szpitalkami“, morzeniem się głodem, zakończyła się dość wesoło, a z całej sprawy, tak przerażającemi barwami odmalowanej przez policję i p. prokuratora, pozostało wrażenie niezbyt przyjemne dla obywatela konstytucyjnego państwa. Byłeś niewinnym jak dziewica po pierwszej komunji, spokojnym jak statua, ale na drodze żywota stanęło ci strach siejące widmo, spotkałeś „socjalistę“, który wymownemi słowami mówił ci o nędzy robotników i ty, żeby poznać ich tendencje, kupiłeś sobie dajmy na to, od pierwszego lepszego księgarza jakąś broszurę o tej kwestji traktującą. Za ten przypadek i za tę twoją ciekawość siedziałeś rok cały w więzieniu i zrobiono z ciebie najniebezpieczniejsze indywiduum pod słońcem, omal nie wykonawcę wyroków śmierci! Lecz nie minęła cię nagroda za tych niesłusznie odsiedzianych kilka lub kilkanaście miesięcy. Uniewinniono cię i pozwolono łaskawie oddychać znowu świeżem powietrzem, mieszkać we własnem pomieszkaniu i czytać co się podoba. Wspomnienie tak dziwnych chwil będzie ci później miłem, a przypominać ci o tem będą często reumatyzmy i różne inne choroby w więzieniu nabyte. A jeżeli przez czas zamknięcia, mając tyle chwil wolnych do rozmyślania nie stałeś się socjalistą, więcej nawet, nihilistą, to nie wiemy co wtedy więcej podziwiać, czy dobroć serca twego i pobłażliwość nawet dla ręki która cię bije, czy też upór i trwanie niewzruszone w „zdaniach przedsięwziętych.“

Z całej rozprawy odbierało się wrażenie, jak gdyby wszystko się składało na to, by oskarżonych przedstawić w jak najlepszem świetle. Jeśli gdziekolwiek istnieje komitet rozdający nagrody za skuteczne przeprowadzenie propagandy socjalistycznej, to przyznać by ją należało krakowskim oskarżonym i panu prokuratorowi. Któż nie czytał rozpraw tych w całej Galicji, kto nie śledził pilnie za tem, jak pociski słabe oskarzenia rozbijały się o wymowę i siłę przekowania oskarżonych. jak się mnożyły fakty za faktami przyczyniające się do postawienia ich w korzystnem świetle? Trafnie pisał przed kilku tygodniami szlachcic pewien do redakcji naszego pisma „toż to jest cała akademja socjalistyczna, panie Dobrodzieju.“ Tak, rzeczywiście, to jest „Akademja“ i takie Akademje pojawiają się wszędzie tam, gdzie przeciw myślom chcą użyć siły, gdzie przekonania chcą uderzeniem w twarz wykorzenić. Żeby zwyciężyć prądy, które uważają się za niebezpieczne dla społeczeństwa, należy je zwalczać tą samą bronią, należy nieść oświatę, należy mnożyć abecadła zamiast karabinów, należy wykorzeniać nędzę rozwojem ekonomicznym, zamiast ją powiększać wojnami, należy więcej kształcić ludzi niż żołnierzy.

Zastrzegamy się jak najmocniej przeciw temu, aby nas fałszywie nie zrozumiano i nie tłumaczono naszych przekonań tak, jakbyśmy *corps et âme* stali w socjalistycznym obozie. Przeciwnie, dzieli nas od nich przestrzeń niezmiernie wielka. Uznajemy i szanujemy ich chęci przyniesienia ulgi nędzarzom pracującym, lecz nie życzymy sobie ich państwa w którem dla ludzi mniej byłoby swobody, niż w każdej innej formie państwowej. Ale nie zgadzamy się także z tymi, którzy z nich złoczyńców robią i wynik procesu uważają jako fatalny dla kraju. Fatalną jest cisza zupełna, spokój bagien stojących, gdzie robaki i płazy ruszają się tylko na to, aby żer sobie zdobyć. Fatalnem jest owe krążenie myśli w jednem kółku, brak sporów o sprawy ludzkość całą obchodzące, chodzenie po ścieżkach nogami poprzedników utartych, które nieraz krzywe są i prostą drogą korzystniej ominąć by się dały. Nie można więc wszystkich ruchów umysłowych, chociażby nam przewrotnemi się pokazywały, uważać za symptomata źle na przyszłość wróżące. Owszem. Każdy taki objaw daje świadectwo budzącej się myśli, jest zaczątkiem tej świadomości, że się nie jest zaspanym niedołęgą między narodami, lecz że się z niemi razem żyje, czuje, postępuje i jednakowe walki przechodzi. Bądźmy jedni co do wspólnego celu, ale ścierajmy się na polu teorji społecznych, wyznaniowych, naukowych, artystycznych i wszelkich innych z życiem umysłowem połączonych. Tylko tą drogą postęp jest możliwym, tak jak tylko z uderzenia dwóch krzemieni o siebie, z zetknięcia się dwóch przeciwnych biegunów elektrycznych, iskra przejawić się może.

I z tego to właśnie powodu, uważamy niektóre prądy poczynające kiełkować jako wcale nie przerażające symptomata i wyżej cenimy młodych ludzi, którzy z pogardą dla własnego interesu, przenosząc ucisk swych przekonań, są zwolennikami socjalizmu, niż tych, którzy jedynie o zrobieniu karjery myślą, a których całym pokarmem duchowym, kawiarniana gawęda i myśl gorączkowa o własnej kieszeni, niż tych „zjadaczów chleba“, którzy nad tem tylko czuwają, by im było dobrze, a dla których sprawy ogólne leżą po za poziomem serca i rozumu. Nie obawiamy się nawet tych przekonań, które ze stanowiska panujących obecnie poglądów, nazywają się przewrotnemi, bo każde żywsze podniesienie sprawy, wywołuje przez oddziaływanie inne prądy, a z ich starcia wytryskuje prawda i zdrowe kierunki.

Kto miał sposobność być obecnym przy krakowskiej rozprawie, tego musiało uderzyć dziwne otoczenie. Na stole jako *corpus delicti*, książka. Stosy ich tam leżały. Na ziemi paki księgarskie z broszurami treści społecznej. O ścianę oparte kaszty drukarskie. W ogóle to, co z ruchem umysłowym ma do czynienia. Autorowie, tłumacze i komentatorowie siedzieli na ławie oskarżonych. Otóż widok taki robi dziwnie przykre wrażenie na cywilizowanych ludzi i jest nadzieja, że po zapadłem uniewinnieniu, nie prędko się on powtórzy, co daj Boże. Amen.

ZADORA

Historja z końca XVIII. wieku.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(*Ciąg dalszy.*)

Chociaż wkrótce zmierzchać miało, choć mu wszyscy odradzali jechać pod noc, Jacek uparty siadł na bułanka i ruszył.

Nie potrafilibyśmy dziś już skreślić drogi, którą się puścił w lasy, zaraz za miasteczko wyjechawszy. Ze sposobu kierowania się wnosić było można, że pan Jacek znał doskonale nie tylko wielkie drogi, ale najmniejsze ścieżki otaczającego kraju. Musiał też wiedzieć dokąd na nocleg zajedzie, bo przedzierał się gąszczami, drożynami małemi, choć noc zapadła, i, wśród największych gąszczy dostał się na wielki gościniec pod samą karczmę, gdy już czas było jemu i koniowi odpocząć. W gospodzie świeciło się jeszcze i szczęściem, oprócz okolicznych wieśniaków z furami, nikogo w niej nie było, mógł więc wygodnie się rozgościć.

Żyd arendarz, chociaż nie znał osobiście przybyłego, dowiedziawszy się, że do dworu Kodeńskiego księżnej wojewodzicowej należy, miał dlań respekt i poczęstował go szabasówką. W wielkiej izbie na ławie, choć powietrze nie było wolne od różnych wyziewów, a spokój nocy podróżni przerywali, przespał się nie rozbierając Jacek, i do dnia już był znowu w drodze.

Podróż szła niemal ciągle lasami, jak to w ogóle nazwisko kraju oznacza, ziemie te nie dawno jeszcze Podlasiem nie darmo się zwały, bo je całe niemal okrywały bory ogromne. Tu i ówdzie osada mniejsza i większa miała jeszcze fizjognomję nowiny wydartej świeżo, na polach sterczały pnie nie wykarczowane, a stosunek roli i łąk do zarośli był bardzo mały. Zdobywali dopiero ludzie ziemię nie bardzo wdzięczną, miejscami piaszczystą, gdzieindziej gliniastą, i sapowatą. Drzewa na niej rosły bujnie, ale zboże chorowito i nędznie...

Nad wieczór tego dnia pan Jacek, który się widocznie śpieszył dotąd, począł konia powstrzymywać a sam też tak poglądał jakby i chciał i obawiał się zarazam rychło do celu zdążyć.

Mrok padał, gdy wśród boru na skraju polanki pokazała się chałupa leśnika.

Było to coś pośredniego pomiędzy chatą chłopską a małym dworkiem szlachty takiej, jaka Huszczę i Tucznę zasiadała. Obok domku małego ogrodzonego do koła, chlewek, stajenka, soszek i gołębniczek wyglądał. Wszystko to sklecone z drzewa, już nie zbyt nowe, zszarzałe, ubogie... Przed chatą na drodze, wielki drewniany krzyż stał jakby jej pilnował. Dodawszy żuraw studni, który z za dachu wyglądał i kilka wyniosłych sosen oszczędzonych aby trochę cienia dawały, nie było więcej nic dla wygody i ozdoby...

W tę biedną sadybę, gdy mu się z lasu wyjeżdżając ukazała, wlepił oczy pan Jacek i stanął. Patrzał na nią tak jakby mu na widok jej biło serce, z miłością wielką, z trwogą, która opanowuje gdy się ku miejscu drogiemu przybliża.

Jechał stępą, jakby się chciał nasycić widokiem, a rozmyślał jak ma się stawić... Coraz widoczniej rozeznawał co się w chacie i podwórku działo. Dobrze się już przybliżywszy, dostrzegł, że dwa konie osiodłane stały przede drzwiami, które pachołek jakiś trzymał. Zmarszczył się i jakby chciał cofnąć konia już miał zawracać, gdy pomiarkował, że widzianym być mógł i że dojechawszy do wrót niemal, nazad jechać nie raźno było...

Pies od progu czarny poskoczył szczekając ku wrotom. Spiął się łapami na nie, pociągnął nosem i nagle zaskomlił jak do znajomego... Tuż i chłopak od stajenki przypadł wrota otwierać.

Na jego przywitanie nic prawie nie odpowiedziawszy, zsiadł z konia Jacek, obejrzał się, jakby nie dobrze wiedział co pocznie.

Zmięszały go może głosy krzykliwe dochodzące z chaty. Jeden mianowicie podniesiony, gniewny, górował nad innemi, a ile razy silniej się dał słyszeć, marszczył brwi pan Jacek zwolna ku drzwiom się zbliżając.

Czarne psisko tuliło się doń jak do znajomego, na co on tupaniem nogi i odpędzaniem odpowiadał.

Drzwi izby stały otworem, a wnętrze jej następny obraz przedstawiało.

W pośrodku w czapce na głowie w boki się ująwszy, z bizunem w ręku, majestatycznie się rozpierał mężczyzna lat średnich, wąsacz, ogorzały, mina zuchwała, ze strzelbą przez plecy i torbą myśliwską na ramieniu.

Jednego oka brak mu było, powieka na nim na wieki zwisła już się nie otwierała; usta miały wyraz dziki, a w schrypłym głosie, czuć było napiłego...

Wrzeszczał właśnie.

— Pamiętaj-że ty chamie jakiś!

Gdy z drugiej strony progu ukazał się pan Jacek, to mu jak nożem mowę odjęło.

Naprzeciw niego, w postawie dosyć pokornej, u komina, który jak po chatach z piecem się łączył, stał przyparty staruszek siwy, z głową spuszczoną, w siermiędze krótkiej, w postołach zamiast butów na nogach, pasem zielonym starym przepasany.

W głębi widać było kobietę nie młodą, z chłopska po szlachecku odzianą, z twarzą bladą, gniewną i pięściami pościskanemi, czego zamaszysty ów pan widzieć nie mógł, tyłem będąc do niej zwrócony. Gdy się Jacek ukazał, stary u pieca stojący pobladł jak ściana, kobiecie opadły ręce, krzyczącemu głosu zabrakło.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odezwał się z pewnem drżeniem w głosie Jacek. — Pobłądziłem w drodze— czy trafię do Białej?

— Do Białej! — zaśmiał się w czapce stojący. — A zkąd że asindziej jedziesz.

— Z Kodnia, od księżnej.

— O tóż, wstąpił do piekłów, po drodze mu było — począł wąsaty. Śliczne itinerarjum sobie asindziej wybrałeś.—Gdzie u Boga!

Początek ten rozmowy, kobietę starą, która się zlękła zrazu i siwego co stał u pieca, widocznie uspokoiły.

Głosem drżącym, cichym, pokornym staruszek zwracając się do Jacka — rzekł prędko:

— Juści, wielmożny pan pobłądził, a oto i noc, nie ma innej rady tylko u nas, choć nie wygodnie noc przebyć, a jutro ja na gościniec wyprowadzę.

— Jabym dał radę lepszą — wtrącił z butą szlachecką mężczyzna w czapce. — Jestem oficjalistą księcia Radziwiłła, mieszkam ztąd o lekką milę, proszę na nocleg do mnie. Szlachcic u szlachcica znajdzie przyzwoitszą dietę niż u chłopa... Jestem Mazanowski, do usług.

Zadorski się skłonił, wybąknął bardzo śpiesznie swoje nazwisko, które drugi raz musiał powtórzyć, bo Mazanowski podchycił. Jak? jak? i wytłumaczył się że konia miał zmęczonego bardzo a sam też się srodze na koniu stłukł.

—Z biedy to wielmożny pan i u nas się jako tako prześpi — dodał stary.

— A jak moje nie w ład, to ja z mojem, na zad — rzekł dumnie Mazanowski. — Jak nie łaska — to — co robić. — Nocuj asindziej u chłopa!

To mówiąc, zwrócił się do starego:

— Pamiętaj-że mi, ty chamie! aby wszystko było w porządku, bo jak drugi raz się to zdarzy, jak Bóg miły, na siwy twój włos nie zważając, tak grzbiet wyłoję, że popamiętasz.

Pogroził bizunem, który trzymał w ręku, a starzec do nóg mu się tylko pokłonił.

Za tem powtórzywszy ubolewanie, iż Zadorski do Mazanowskiego nie raczył, przeprowadzany przez ugiętego w pół staruszka, który szedł mu strzemię przytrzymać, wyniósł się butnie, hałaśliwie Mazanowski.

P. Jacek stał jak wkuty u progu, nie zważał nawet, że czarny pies, mimo odpędzania, do ręki mu się przysunął i lizał ją pokorny.

I raz jeszcze odezwało się głośne

— Pamiętaj-że ty chamie!

Po czem ściągnął szkapę Mazanowski, chłopiec jego na konia skoczył i kłusem za wrotka wylecieli.

Starzec ścigał ich przelękłemi oczyma. Kobieta ręce złożywszy jak do modlitwy, stała pół skamieniała. Jacek zdał się czekać.

W chwili gdy Mazanowski zakręciwszy w prawo znikł za sosnami, Zadorski skoczył do chaty i starej kobiecie do kolan się pochylił. Ona pochwyciła go za głowę i namiętnie ją do piersi cisnąc, całowała z płaczem.

Wtem nadbiegł stary i porwał w ramiona pana Jacka, wprzódy drzwi zawarłszy za sobą, i nic słychać nie było, długo tylko jakby jęki i łkanie...

Wtem kobieta pierwsza mowę odzyskała.

— Jezusie nazarański! — zawołała — o to cię Pan Bóg przyniósł, właśnie na tę

godzinę gdy ten Herod przybył się znęcać nad nami i starego hańbić.

Poczęła płakać i łzy ocierać.

— Takie to nasze życie, takie obejście się ich z nami, innego nie posłyszysz słowa, tylko — ty chamie! ty chłopie!

Stary jęknął.

— A cóż — przerwał — chłopem ci jestem, wszystko mu wolno co zechce, i gdyby zabił nie ująłby się nikt.

Obejrzeli się lękliwie czy kto nie słucha lub nie patrzy, ale nie było nikogo.

Stary przyglądać się zaczął przybyłemu z miłością wielką.

— Co się z niego zrobiło! — szeptał radośnie.

— Nie zmizerowali go Bogu dziękować na tym dworze! — dodała stara... i wnet fartuchem zaczęła ocierać ławę.

— Siadaj-że, spocznij, co ja tobie dam! czem ja cię pożywię. Tyś sobie gębę popsuł na pańskiem.

Stary mniej gadatliwy, bojaźliwszy, gdy Jacek usiadł przysunął się do niego i po głowie głaskać począł, wyrywając ręce czarne i namulane, gdy ten mu je chciał całować.

Pod wrażeniem wielkiego uczucia niemy siedział Zadorski, podparty na stole, oczyma chodząc to za kobietą, która się już krzątała po izbie, to za uśmiechającym mu się starym.

— Jacku kochanie, Maryś ty życie moje — szepnął stary — jakby chłopiec wszedł albo Paraska, zmiłujcie się nie zdradźcie się. Jak co zwąchają, pójdzie z tego gadanie, zgubim siebie i jego...

— A już ty mnie nie ucz stary, nie pierwszy to raz — odparła kobieta — byleś ty sam się nie zdradził! Bo, choć w kącie staniesz, to takie na niego oczy robisz, jakbyś go zjeść chciał.

— A juścibym go zjadł! — zamruczał stary wesoło i usta sobie zatulił.

Za drzwiami szelest posłyszano i stary natychmiast cofnął się ku piecowi, weszła owa Paraska, rozglądając się po izbie i przybyłym.

Stara Maryś nie dała jej długo patrzeć, wyprowadziła zaraz do sieni.

— Ot bieda! — westchnęła szepcząc jej na ucho. Znajomy szlachcic zabłąkał się, nie ma rady tylko go musiemy na noc przyjąć. Co ja jemu dam!

Narada z Paraską cicha — odwiodła uwagę jej od przybysza. Wyprawiona do spiżarenki po zapasy, nie miała czasu już podsłuchiwać i podglądać.

Lecz ledwie się jej zbyto, zajrzał chłopiec, pytając co ma z koniem robić, z czego korzystając Jacek sam poszedł go w stajni postawić.

Czarny Burek zdrajca, włóczył się tak za nim, że chłopiec znając złe psisko, wydziwić się nie mógł!

— Co za dziw — rzekł Zadorski — ja mam takie ziele, że za mną wszystkie psy chodzą.

Ponieważ potem nieustannie Paraska i chłopiec do izby zaglądali, musieli więc oboje starzy i Jacek tak mówić z sobą, jakby obcy byli. Okazywano gościowi poszanowanie należne i dopóki czeladź spać nie poszła, jeśli co mówiono, to ostrożnie i po cichu.

Po wieczerzy dopiero, kiedy już i siana przyniesiono na posłanie, i łuczywo tylko gorzało w kominie, a mało pierwsze kury nie piały, stary poszedł się przekonać czy chłopiec spał, baba posłuchać czy na piecu w piekarni chrapała Paraska, i gdy już szpiegów się nie obawiano, siedli swobodniej rozmówić się z sobą. (C. d. n.)

O tronie elekcyjnym domu Jagiellonów w Polsce

przez

Kazimierza Stadnickiego.

(Ciąg dalszy.)

Pakt ten nie przyszedł do skutku, bo królewna umarła (r. 1431) przed ślubem, a czwarta żona Władysława obdarzyła go męskim potomkiem. W dziejach zaś miejsce mieć winien, bo przedewszystkiem wskazuje, jaka przyszłość czekała Polskę, gdyby tego potomstwa zabrakło. Również uderzającą jest niezachwiana wiara siedmdziesiątletniego króla, że mu go nie zabraknie. Z tego powodu córkę, którą miano w Polsce za królowę w spadku po matce, postanawia on tylko ewentualną swą następczynią. Ale że przekazanie synom sukcesji w koronie, jaką w tym dokumencie napotykamy, nie było dostatecznem, najbliższe czasy wykazały. Zanim zaś do nich przystąpimy, należy wyprowadzić na widownię główny czynnik w tych sprawach od r. 1400, t. j. Litwę, wyświecić stosunek jaki istniał między Polską a Litwą przed Unją z r. 1569 co do sukcesji na oba trony, królewski i W. książęcy.

Był to stosunek w najwyższym stopniu wyjątkowy, gdyż pomimo, że obie rady powołane do wyboru wychodziły z zasady elekcyjnego tronu i obowiązywały się, że jedna bez drugiej do elekcji nie przystąpi, Litwa nigdy innego, jak potomka Gedymina, wybierała na Wielkiego Księcia. Jeżeli więc w danym razie Polska inny uczyniła wybór, natenczas przez się ustawał wszelki związek między nią a W. Księstwem. Ale i nikła dla korony nadzieja uzyskania Wołynia, Podlasia, Ukrainy i przystępu do dwojga mórz. Tu więc Litwa trzymała w kleszczach przybraną siostrę swoją.

Pierwszy układ między przedstawicielami obu narodów, t. j. pięćdziesiątu dwoma dostojnikami ze strony Polski, a trzydziesto dwoma obywatelami, katolikami świeżej daty, ze strony Litwy, który w tym przedmiocie w ciągu r. 1400 zawartym został, jest w całej swej osnowie na korzyść Polski, gdyż prócz najściślejszego przymierza między obu narodami, waruje tenże, że ze śmiercią Wielkiego Księcia Witolda, Litwa ze swojemi przynależytościami przechodzi na własność króla Władysława i korony polskiej. Ale brzmi on i na korzyść Litwy i jej rodowej dynastji, t. j. Gedyminowiczów, bo nie przypuszczając, aby po śmierci króla Władysława kto inny jak potomek jego na tron mógł wstąpić, waruje, że w razie gdy król bezpotomnie umrze, Polacy bez wiedzy i rady dostojników litewskich, króla sobie nie obiorą. [14])

W przywileju w Horodle r. 1413, przez króla Władysława, jako najwyższego zwierzchnika (princeps supremus), i Witolda, Wielkiego Ks. Litwy, wspólnie wydanym, i do którego ziemianie litewscy, katolickiej wiary i do herbów szlachty polskiej przyjęci, w liczbie 46 w osobnym zapisie przystąpili, sprawa sukcesji tronowej ściślej jeszcze określoną została. Nietylko w razie zgonu króla Władysława bez zostawienia potomków, rada koronna tylko za wiedzą i radą dostojników litewskich do wyboru nowego króla przystąpić miała, ale teraz na mocy przywileju powyższego tożsamo po zgonie W. Ks. Witolda dostojnicy litewscy li za porozumieniem z radą koronną mogą następcę mu obrać. Że zaś w uroczystych owych umowach miano li na oku zgon króla i zgon Witolda, obu władców już podeszłego wieku, a nie sięgano dalej, dowodzi, jak niepewną była przyszłość, i że ani jedna ani druga strona ręce związane mieć chciała.

Pierwsza próba, na którą postanowienia owe wystawione zostały, miała miejsce na Litwie. Witold umarł r. 1430. Po śmierci jego, mówi kronika, król uprosił u panów litewskich, aby brata jego, Świdrygiełłę, Wielkim Księciem obwołano,[15]) Nie zasięgnął przytem rady dostojników koronnych, [16]) jak tego wymagał przywilej w Horodle wydany, i w tem chybił, bo wybór do tego stopnia był niefortunnym, że zaledwie minęły dwa lata, a już ci sami pominięci dostojnicy koronni, ze względów państwowych użyć musieli wszystkich sprężyn, by Świdrygiełło z godności tej został

---

[14]) Umowa ta, w dwóch co do głównej treści jednobrzmiących pismach, przechowaną nam została. Jedno wydane w Wilnie 18. Stycznia r. 1401 przez prałata Jakóba Biskupa Wileńskiego, kniaziów: Iwana Olgimonta ze synam Andrzejem i Szymonem (którzy więc natenczas byli już katolikami) tudzież baronów, szlachty ziemianów Litwy i Rusi (w liczbie 28. znajduje się w zbiorach praw polskich i litewskich.) Odpowiedzieli nań prałaci, baronowie i szlachta polscy, zgromadzeni w Radomiu, pismem z d. 11. Marca t, r. wydanem po raz pierwszy w kodeksie dyplomatycznym polskim Ryszczewskiego i Muczkowskiego T. 1. dok. 151.

[15]) I po smerty Wielkiego Kniazia Witołda, Korol Jagoiło prosił kniażej i panów litowskich, aby oni wziali sobie brata rożonoho kniazia Swidryhayła i kniazi i panowie litowskji pry bytnośti Korola Jagoiłowe, posadili na welikom kn. litowskom i ruskom kniazia welikoho Swidryhayła (Kr. lit. wyd. Narbutta str. 44.)

[16]) Długosz mówi: Inconsultis praelatis et baronibus Poloniae et Lithuaniae. Co do Litwy, kronika wyżej powołana, fałsz mu zadaje, ale prawdopodobnie i tam wielu dostojników znających Świdrygiełłę byli jego wyborowi przeciwni i ulegli tylko woli królewskiej. Większej wagi jest okoliczność, że Jagiełło, który od czasu objęcia tronu polskiego wydawał przywileje wyłącznie dla Litwy katolickiej, równie jak i ona tylko ze szlachtą koronną zawierała umowy, teraz prawdopodobnie, aby przeprzeć wybór Świdrygiełły, wezwał także dostojników Rusi litewskiej, stanowiącej trzy czwarte części W. Księstwa, którzy zaś pozostali przy wierze swej greckiej. Byli to kniaziowie i bojary ze ziem: Wołyńskiej i Kijowskiej, Czernichowskiej, Bracławskiej, Podlaskiej, Smoleńskiej, Nowogrodzkiej, Mińskiej, Mścisławskiej, Witebskiej, Połockiej, co nie zostali przyjęci do praw i przywilejów szlachty polskiej. Owe powołanie szlachty greckie wiary wnioskować się da ze słów kroniki litewskiej: że Świdrygiełło na Księstwa Litewskie i ruskie został wynesiiony, kiedy przeciwnie opisując wybór następcy jego Zygmunta, wspomina tylko o litewskim Kniastwie. Ale dobitniej jeszcze wskazuje na to Długosz, mówiąc: że Rusini cieszyli się wielce ze zgonu Witołda i obioru Świdrygiełły, bo po nim spodziewali się lepszej dla siebie i wiary swej czasów. (Sperantes sibi et Sectae suae schismaticae meliora Swidrigielli snccessione proventura (Ks. 11 r. 1430)

*

wyzuty, a zajął jego miejsce inny Gedyminowicz.[17]) Był to Zygmunt, syn Kiejstuta, jedyny prócz panującej linji i Świdrygiełły, katolik ze szczepu Gedymina i w otwartem przeciwieństwie ze swym poprzednikiem, zupełnie wpływom króla i korony uległy. To też z polecenia króla dostojnicy litewscy katolicy obwołali go Wielkim Księciem. Ruś litewska zaś została wierną Świdrygielle (r. 1432).[18])

Druga próba ustawy rzeczonej sukcesyjnej odbyła się w Polsce: ale tu dalej sięgnąć należy.

Władysław Jagiełło, jak wyżej mówiono, miał z potomstwa do r. 1424 tylko córkę, Jadwigę. W październiku r. 1424 urodził mu się (z Zofji księżniczki holszańskiej) syn Władysław. Natenczas pomyślał król, że należałoby się zapewnić, czy też, ten niezaprzeczenie prawy następca w Wielkiem Księstwie Litewskiem, i na tronie polskim osiędzie, bo mimo tak zwanych unji i inwisceracji Litwy do Polski, kwestja ta bynajmniej dotąd rozstrzygniętą nie była, król prawa dziedzicznego do tronu nie posiadał. Ale rozstrzygnąć ją mógł tylko naród przez organa swoje. Postanowił więc król, pytanie w tym przedmiodo nich wystosować. Zaczął od miast; dowód oczywisty, że w sprawach państwowych i stan miejski miał natenczas do mówienia. I tu nastąpiła manifestacja, jaka się za istnienia Polski więcej nie powtórzyła. Zapytane miasta, na czele Kraków, stolica, oświadczyły jednogłośnie, że prawym następcą tronu jest syn królewski, w braku tegoż córka, czem dały dowód niepospolitego zmysłu politycznego.[19]) Że w tem wielkie zasługi położyła królowa Jadwiga, wydając do miast okólnik powyżej wspomniany, wątpliwości nie podpada.

Ale głównym czynnikiem w sprawach państwowych byli ziemianie, a raczej ich organ: rada koronna z dostojników duchownych i świeckich złożona, król więc zwołuje ich, t.j. sejm w kwietniu r. 1425, do Brześcia kujawskiego Aby sobie umysły zjednać, puszcza wieść, że dobra duchowne zwolni zupełnie z ciężaru tak zwanych stacji królewskich i wojskowych, Kujawiakom opuści daninę od owsa i inne jeszcze exemcje udzieli. Pomimo to doznał bolesnego rozczarowania.

Frymarki, nader korzystne z czasów króla Ludwika, kiedy chodziło również o ustalenie dziedzicznej dynastji andegaweńskiej na polskim tronie, były jeszcze w świeżej pamięci. Wierne więc tradycji zgromadzenie postanowiło uznać nowo narodzonego syna królewskiego za następcę tronu i zapis tej osnowy wydać. Jednakowoż zapis ten ma być złożonym w ręce biskupa krakowskiego Zbigniewa z Oleśnicy, i królowi natenczas dopiero wręczonym, gdy według wzoru mu podanego wyda ze swojej strony zapis na rzecz państwa, t. j. ziemian, i szczegółowo każdej ziemi, zastrzegający wszystkie przywileje i exemcje (libertates i immunnitates) dawniejsze i nowsze. Król oburzony nie przystał na ten warunek, i sejm rozeszedł się.[20]) Nie postąpiła sprawa na sejmie r. 1426, do Łęczycy zwołanym. Król nim go zagaił, zasięgnął rady cesarza Zygmunta! Ten odpowiedział, że według praw bożych naród winien uznać syna króla swego za następcę tronu. Nie godzi się więc monarsze okupywać to uznanie potwierdzeniem dawnych, tem mniej nadawaniem nowych przywilejów. Aby zaś uniknąć burzy, radzi cesarz królowi ujmować darami i obietnicami pojedynczych posłów. Ta arcymądra rada („id consilium non secus quam a Minerva largitum“, mówi Długosz“) dała otuchę królowi. Ale zamiast oświecić zgromadzenie, że tron dziedziczny, to najlepszy puklerz dla praw korporacji i jednostek, że nie dlatego wcielił edyktami Litwę dziedziczną swą do Polski, by ostatecznie potomstwo jego miało jedno i drugie utracić, nakoniec wskazać na przykład miast, król, jak wszyscy ludzie słabej, woli w krótkich chwilach energji, idąc za daleko, oświadcza, że ani dawne przywileje potwierdzi, ani nowe nada. Na to powstała wielka burza. Biskup krakowski, zapis wyżej wzmiankowany zeszłego sejmu jego pieczy jako depozyt poruczony, zwraca zgromadzeniu, które go niszczy.[21])

Brano się już do korda; król zatrwożony opuścił izbę sejmową, i począł, według cesarskiej rady, wchodzić w układy z pojedynczymi posłami. Jedyną mu była pociecha, że ziemianie Rusi halicko-lwowskiej, chlubny stanowiąc wyjątek, w roku następującym (1427) na osobnych sejmikach wszyscy bezwarunkowo uznali syna jego za prawego następcę tronu.[22])

Ale rada koronna była nieugięta. Królowi urodził się syn drugi (wkrótce po urodzeniu zmarły,) z końcem r. 1427 trzeci, późniejszy król Kazimierz. Częste te połogi młodej królowej, wzbudziły jak wiadomo niesnaski domowe, które mu życie truły. Przyłączyły się do tego zamiary separatystyczne W. X. Witolda, coraz więcej na jaw występujące, popierane przez cesarza Upadł więc król na duchu a złamany wiekiem, postanowił aby zapewnić tron synom, wydać pożądany zapis. Nie jeden już on podobnej treści wydał, a przywileje możnych, o które chodziło i bez nowego potwierdzenia stałyby nienaruszone, bo nie było silnej ręki, któraby je zniosła, a nawet rozszerzeniu się ich tamę położyła. Ale rada koronna widząc się arbitrem położenia, już się tem nie zadawalniała, lecz chciała owładnąć sprawa daleko ważniejszą, bo sprawę sukcessji w koronie. Niepomna świeżego swego zapisu z r. 1425 orzeka teraz, że jej służy prawo postanowienia, który z dwóch synów królewskich ma być ojca następcą. Król nie stanowił oporu i nie na sejmie, w tym celu zwołanym ale na zgromadzeniu dostojników w Jedlinie, wiosce koło Radomia, gdzie zwykle polował, wydał pożądany zapis na dniu 4go marca r. 1430 przyczem otrzymał w zamian drugi, postanawiający że jeden z jego synów, którego rada za zdolniejszego do rządów uzna, ma po nim tron polski odziedziczyć.[23])

Król życie zakończył na dniu 31go maja r. 1434. Mimo zapisu powyższego umarł, wątpiąc czy starszy syn Władysław, następcą jego będzie. Udając się bowiem z Krakowa na ostatnią swą na tej ziemi podróż, stawił poręczycieli jako syn jego starszy, doszedły lat piętnastu, potwierdzi wszystkie prawa, narodowi przez królów nadane.[24]) Ale i Długosz tak dokładnie informowany o ostatnich chwilach króla, mówi, że obecnym jak najżarliwiej syna Władysława jako z niego spłodzonego na następcę tronu zalecił[25]).

I nie zawiodła go nadzieja. Gdy nastąpiło interregnum, z dwóch synów królewskich starszy miał zaledwie 10, młodszy 7 lat. Członkowie rady koronnej i inni dostojnicy zmiarkowali że okryło by to śmiesznością poważne zgromadzenie, gdyby opierając się na dawniejszem swem postanowieniu, orzekać chciało, który z dzieciuchów zdolniejszym do władania berłem. Pierwsza ocknęła się Wielkopolska, bo tam w przejeździe na Sobór do Bazylei, przebywał Zbigniew Oleśnicki biskup krakowski. Zaledwie tenże otrzymał zawiadomienie o śmierci króla, zwołał na-

---

[17]) Długosz — Bracia Władysława Jagiełły — ustęp Świdrygiełło.

[18]) Y Kniazi i panowe litowskji z pomoczju Korola Jagoyła wziali sobie hospodarem Welikoho kn. Zygmunta. (Kr. lit wyd. Narbutta str. 46)

[19]) Pierwsze oświadczenie wyjść musiało ze strony reprezentacji gminy Krakowa, bo nosi datę 28. Lutego r. 1425. Znajduje się w kodeksie epistolarnym z XV. wieku wydanym przez Akademję umiejętności. Za tem poszły: miasto Lelów w tymże roku (Inv. arch. reg. str. 199) — W województwie Poznańskiem miasta: Międzyrzecz, Skwir Szram, Wschowa (Inventarium archivi regni) — W Województwie Kaliskim miasta: Gniezno, Konin, Nakło, Pobiedlisko, Środa, Stawiszyn (ut. supra.) W Województwie Sieradzkiem miasto Wieluń. W Województwie Brzesko-kujawskiem Radziejów. W Województwie Inowrocławskiem Bydgoszcz Inowrocław (ut. supra.) W ziemi Dobrzyńskiej miasta: Bobrowniki, Lipno, (kod. dypl: polski t. II. obie części) Dobrzyń. Rypin (ut invent. W Województwie Rawskiem miasto Gombin ut. supra, nakoniec w Województwie ruskiem miasto Lwów (akta grod. i Z. T. 4) — wszystkie z r. 1425. Formuła tych oświadczył co do treści następująea: Quod Domino Vladislao reg. Pol. post ipsum vero filio suo qua vero et legitimo haeredi filio autem deficiente dom: Hedvigi filiae dom reg. fidelesesse volumus nec unquam alium quam diu vixerint dominos sibi eligemus.

[20]) Długosz pod r. 1425.

[21]) Długosz pod r. 1426.

[22]) Inventarium archivi regni ustęp «literae posat. Russiae» str. 253.

[23]) Zapis wydany królowi przez zgromadzonych dostojników w Jedlnie z d. 4. Marca i 1430. znajdował się w archiwum Kor. i główna treść onego opiewa: Proceres regni Poloniae cum consensu Aleksandri alias Vitoldi ducis Lith. unum de filiis Vladislai quem aptiorem judicaverint se eo mortuo electuros dummodo jura confirmet, policentur (Inv. arch. reg. ustęp: litterae reg. Pol.)

Odrębnie do dziś dnia wydanym nie został, lecz redakcja onegoż doszła nas w zapisie wydanym w tym przedmiocie, przez dostojników i ziemianów województwa poznańskiego pod dniem 16. Czerwca r. 1432. (ob. Gołembiowskiego panow. Wład. Jag. t. I. str. 543)

Jednobrzmiące z tem pismem oświadczenia ziemianów Brzeskokujawskich d. 14. kwietnia r. 1433, ziemi Dobrzyńskiej 25. stycznia r. 1434, i obywateli Rusi Halicko-lwowskiej na Sejmiku w Mościskach odbytym (bez daty) znajdowały się równie w archiwum kor. (invent). Ogłoszonem zaś jako obowiązujące prawo zostało owo postanowienie na zjeździe wszystkich ziem odbytym w kwietniu r. 1430. ut. supra.

Co się tyczy odpowiedniego pisma królewskiego, znajduje się ono w historji Długosza pod r. 1430. toż samo we volum. leg. ale z datą r. 1433 m. styczeń, w którym więc stanowczo redagowanem i do powszechnej wiadomości podanem być musiało.

Prócz dziękczynienia, że jednego ze synów wyznaczono mu na następcę tronu, dalej orzeczenia, że po zgonie Witołda Litwa i Ruś litewska stały się własnością króla synów jego, ale i korony, nakoniec ważnego ustępu t. j. obietnicy, że wszystkie ziemie koronne król wraz z Rusią, Polską, złączy jednem prawem (obacz o tem: Synowie Gedymina ustęp Koryat rozdz. ostatni) powtarza owe pismo tylko z amplifikacjami i dodatkami dawniejsze ustawy co do praw, przywilejów i exemcji duchownego stanu, rozdawania urzędów duchownych i świeckich i naczelnictwo twierdz, dalej co do obrony kraju, wypraw wojennych po za granice onegoż, monety kursującej i podatków stałych, sądów i wolności osobistej, mianowicie w sprawach karnych. Mógł więc król snadno podpisać ten przywilej w r. 1425, gdy po raz pierwszy mu przedłożonym został.

[24]) Vladislaus rex statuit fidejussores pro filio suo Vladislao cum posteaquam ad annos quindecim pervenerit omnia jura a regibus concessa, juramento confirmaturumm sub non praestanda obedientia illi (inv. arch. reg.).

[25]) Ut sibi in regno succedat ostendit illum fiilium suum ex lumbis suis natum formam suam habentem — wyrażenia nie bardzo pochlebne dla królowej małżonki i syna młodszego Kazimierza.

tychmiast dostojników W. Polski, (Długosz mówi: „Barones primores“), do Poznania i przedłożył im wniosek koronowania bezzwłocznie Władysława królem. Wniosek przyjęto wszystkiemi głosami, co więcej, postanowiono że koronacja już w. b. m. t. j. 29go Czerwca odbyć się ma i zgodnie z umową w Horodle zawartą, wysłaną została deputacja do W. X. Litwy, Zygmunta Kiejstutowicza, z wezwaniem, aby zjechał, lub przysłał kilku dostojników z upoważnieniem przyzwolenia na koronację.

Samowładza owa pojedyńczej ziemi, słusznie wywołała zgorszenie w Małej Polsce, którą nawet w sprawie tak ważnej do współudziału nie zaproszono. Ale obawa anarchji podczas interregnum, wzgląd na wolę zmarłego króla, przeważyły wszystkie inne względy. Zważano, jak Długosz złośliwie wspomina, na usposobienie więcej miękkie Władysława, niż go miał młodszy królewicz Kazimierz, co też Władysław później hojnemi rozdawnictwami aż nadto udowodnił. [26])

Poddano się więc tacite uchwałe W. Polanów, na zjeździe ziem wszystkich, spowodowanym pogrzebem Władysława Jagiełły w Krakowie. z tą tylko zmianą, że wybór oraz i koronacja króla 25 lipca odbyć się mają. Wybór ów był niejako przedsmakiem sejmów przyszłych elekcyjnych. Stawili się nietylko dostojnicy duchowni i świeccy, ale szlachta, wojacy i mieszczanie we wielkiej liczbie („maxima multitudo convenit Cracowiam“, mówi Długosz). Klassę wichrzycieli przedstawiali *Dersłan z Ritwian* (który się później usunął,) *Spytek z Melsztyna Jan Strasz* z Kościelnik, *Abraham* ze Zbąszyna, którzy urażeni że dla braku dostojeństw nie mogli stanowczego wpływu na Elekcję wywierać, wszystkiemi sposobami pracowali nad tem, aby ona do skutku nie przyszła. Rada koronna, chcąc tym wichrzeniom położyć koniec i przeceniając ich wpływ ogłasza przez usta marszałka, Jana Głowacz z Oleśnicy, zgromadzonej zgrai (multitudo mówi Długosz,) aby każdy co jest za elekcją króla Władysława, na prawą, kto jej przeciwny, na lewą udał się stronę. Na to wezwanie, z wyjątkiem trzech wichrzycieli, wyżej wspomnianych, wszyscy okrzyknęli Władysława królem, i ten tego samego dnia koronowanym został.

Wyborowi i koronacji obecni, byli: Marcin Szadek, Archidjakon i Dowgierd wojewoda, Litwini, w zastępstwie W. Ks. Zygmunta, któren z powodu wojny domowej w Litwie, na zaproszenie rady koronnej stawić się w Krakowie nie mógł. Ci także w jego imieniu zgodzili się na koronację młodego króla, który w lat 4 potem potwierdził na ręce niezmiennie mu wiernego stryja, jako zwierzchnik Litwy (princeps Lith. supremus) wszystkie prawa i przywileje Księstwa. [27].

Zgoda nie długo trwała. W r. 1440 Zygmunt W. ks. Litwy, padł zabity ofiarą stronnictwa rusko-litewskiego mu przeciwnego. Było to w chwili, kiedy Władysław powołany na tron Arpadów, wybierał się w podróż, dla objęcia rządów we Węgrzech. A tu w jego rodzinnej dziedzinie, sroga anarchja podnosi głowę.

Stary Świdrygiełło ze silnego swego stanowiska na Wołyniu, będzie się na nowo domagał utraconego tronu. Stronnicy Michała, syna zamordowanego Zygmunta Kiejstutowicza, opanowali zamek wyższy w Wilnie, kniaziowie ruscy silni co do liczby i możni, ale trzymani dotąd na uboczu przybrali groźną postawę, główny sprawca katastrofy kniaź Aleksander Czartoryski zawarł się w Trokach Litwa katolicka dotąd dominująca, czując, że będzie osieroconą odkąd jej najwyższy zwierzchnik ma w Budzie rezydować, udaje się do niego z prośbą, by postanowił kto ma nadal rządzić W. księstwem. Król zanim puścił się w drogę, z której nie miał już do ojczystych wrócić progów, po długiej naradzie z radą koronną, wysyła brata swego Kaźmierza ze świetnym i licznym orszakiem na Litwę, ale nie w godności W. księcia przez wzgląd na jego wiek dziecinny, przeciwnie li w charakterze czasowego namiestnika [28]).

Postanowienie owe musiało w najwyższym stopniu oburzyć poczucia narodowe litewskich dostojników. Udzielny W. książe był najcelniejszym przedstawicielem samoistności ich kraju. Namiestnik, z istoty rzeczy, mógł mieć tylko ograniczoną władzę, a najwyższy zwierzchnik Litwy 16 letni dzierżyciel dwojga ciężkich koron, otoczony w obcej mu stolicy samemi Lachami i Węgrami, jakimże dla niej mógł być puklerzem. Niechybnie z udzielnego, jak się mieniła, państwa, zeszłaby stopniowo na prowincję polską. Obawa tego sprawiła, że oba stronnictwa zgodziły się na bezzwłoczne ogłoszenie królewicza W. księciem Litwy. Nie czekając więc na przyjazd jego do Wilna, deputacja z wzorową oględnością wybrana, bo składała się z samych ziemianów, którzy podpisali się na Unję Horodelską, co wskazywało, że nie istnieje zamiar zerwania związków z Polską; [29]) wyjechała naprzeciw niego do Brześcia litewskiego by go o tem zawiadomić, i towarzyszyła mu do stolicy, gdzie ze zwykłym ceremoniałem na urząd W. księcia w kościele św. Stanisława wyniesionym został [30]). Król jeden miał prawo ten akt unieważnić, jako najwyższy zwierzchnik Litwy. Nie mógł tego uczynić jako *król polski,* ponieważ przywilej horodelski, biorąc go dosłownie, tylko wybór bezpośredniego następcy W. ks. Witolda uczynił zawisłym od przyzwolenia korony. Władysław przeto milczeniem potwierdził wyniesienie brata. Protestacje ostre rady koronnej, które nam przechował Długosz, były bezskuteczne i w miesiącu czerwcu 1440 królewicz Kaźmierz począł piastować rządy w Litwie, jednakże pod zwierzchnictwem królewskiego brata. Z 10. listopada r. 1444 zaś, w dniu którym tenże poległ w bitwie pod Warną został on z prawa dziedzictwa samodzielnym W. ks. Litwy.

Dzieje jego elekcji na tron polski po zejściu króla Władysława pod Warną (10 listopada r. 1444), opisaliśmy na innem miejscu [31]). Pośpiech z jakim rada koronna, nie czekając nawet na autentyczną wiadomość o zgonie króla, zwołała ogólne zgromadzenie ziemskie, na koniec kwietnia r. 1445 do Sieradza, elekcja królewicza Kaźmierza na tron polski już na pierwszym posiedzeniu jednogłośnie uchwalona, kiedy ojciec jego, fundator dynastji, co Polsce w darze ślubnym przyniósł Litwę i ziemie ruskie, lat dziesięć czekać musiał, nim uzyskał przyrzeczenie, że ten z dwóch synów, którego sejm za zdatniejszego uzna, po nim królować będzie, deputacje co raz liczniejsze i świetniejsze do Wilna by skłonić W. ks. do przyjęcia wyboru, wskazywały dobitnie, jakim był postrach w koronie, by Litwa nie wymknęła się jej. Przeciwnie, otwarte lekceważenie ze strony królewicza, spadłego nań wyboru, odmowne odpowiedzi dawane poselstwom, wypływały z poczucia silnego i dominującego stanowiska, które Litwa, pomimo, że trawiona wewnątrz wojną, zajmowała, mając w osobie Kazimierza Jagiellończyka, dziedzicznego pana swego.

(C. d. n.)

[26]) Eminebat onim jam tunc in Vladislao natura benignior et (u dziecka 10 letniego) ad rei publicae amplitudinem constituendam fervidum ingenium (Długosz).

[27]) Długosz i zbiór praw litewskich pod r. 1438.

[28]) Mówię po długiej naradzie. Zabitym bowiem został Zygmunt w niedzielę palmową r. 1440 a więc 20. marca, a według Długosza dopiero pierwszych dni czerwca Kazimierz przez Wołyń udał się na Litwę.

[29]) Byli to Jerzy Szymonowicz książę Holszański, którego ojciec pierwszy podpisany na dyplomie z r. 1401 o zawarciu związku Litwy z Polską — Kezgał — Gasztolt — Nemira i Ostyk, co podpisali unią horodelską w r. 1413.

[30]) Pierwsze do dziś dnia znane pismo Kazimierza jako W. księcia datowane z Trok 22. Lipca r. 1440 (Skarbiec Litwy t. II).

[31]) Syn Gedymina — Korjat, ustęp ostatni.

DZIWNE KARJERY.

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

TOM II.

ROZDZIAŁ VII.

(W którym Ober-komisarjat Wilkowski zaczyna wpływać na to, czy Numa pójdzie za Pompiliusza.)

Od dłuższego już czasu Wilków oswoił ił się był z myślą, że panna Natalja Kluszczyńska idzie za mąż: »Za jakiegoś literata« dodawali niektórzy z lekceważeniem, inni zaś tym tonem, jakim młodzież szkolna na zapytanie katechety opowiada dogmat o Trójcy Przenajświętszej to jest, z głęboką wiarą, a bardzo niegłębokiem zrozumieniem rzeczy. Z matrymonialnego punktu widzenia, literatura należała bowiem w Milicji do wartości, zupełnie nie notowanych na giełdzie, i nie było wypadku, ażeby literat jako taki zdołał uniknąć niedogodności połączonych z celibatem. Żonaci autorowie byli albo byłymi dzierżawcami dóbr, którzy pożenili się, nim do reszty stracili na posesji, albo też przed ożenieniem się otrzymali posadę w oberszpitalnictwie, w jakim banku i t. p. Umysł milicyjski mógł wyobrazić sobie panią sekretarzowę, panią oficjałowę, panią profesorowę, panią kasjerowę, panią kanceliścinę nawet, ale pani »literatowa« była czemś równie niemożliwem jak parzysty pierwiastek ujemnej ilości.

Może po części z tego właśnie powodu, jakkolwiek Wilków oswoił się był powoli z tą myślą, nie oswoili się z nią jeszcze ani Stanisław, ani panna Natalia. Nieraz, gdy rzucił okiem na serdeczny palec u lewej swojej ręki, na którym miał pierścionek z ametystem, dany mu przez pannę Natalię w zamian za inny, brylantowy, który ośmielił się jej ofiarować młody współpracownik *Orędowniczki*, sądził, że marzy, i musiał dopiero odtwarzać w swojej pamięci różne niezaprzeczone fakta i okoliczności, ażeby doznać owej wpół radośnej a wpół tęsknej senzacji, którą poeci mieszczą w sercu, a której siedzibą,

jak powiedziałem, jest błona żołądkowa. To też pierścionek ten był dla niego nieocenionym skarbem. Lubił, gdy kto spostrzegł jego fason — zbyt wyraźnie niewieści, by nie dal powodu do różnych komentarzy, miłych sercu młodziana. Wieczorem, nim usnął, zwykł był całować nieczułe złoto i twardy kamień, a ilekroć się budził, mimowoli chwytał się prawą ręką za lewą, ażeby się przekonać namacalnie o rzeczywistości swego szczęścia. Nie śmiałbym utrzymywać, że pierścionek Stanisława był przedmiotem równego fetyszyzmu ze strony panny Natalii — ale nosiła go zawsze, bo brylant był ładny i dobrze oprawiony. Zresztą, obchodziła się dość dobrze ze swoim przyszłym poddanym. Pozwalała mu prowadzić się wraz z matką do teatru, ile razy chciał, co — nawiasem powiedziawszy, stanowiło niemałą pozycję w budżecie literackim, bo Stanisław, jakkolwiek dziennikarz, nie chciał nadużywać uprzejmości dyrekcji i najczęściej kupował loże. Mniej powodzenia miały jego próby literackie. Jeszcze pół biedy było z tłumaczeniami z Horacego i Anakreonta, których dokonał był kilka dawniej i które teraz uzupełnił i wydał drukiem, w ozdobnym tomiku. Ale stało się, co najczęściej bywa w takich razach, Stanisław dopuścił się napisania dramatu, wprawdzie tylko w trzech aktach, ale osnutego na tle patrjotycznem. Publiczność obsypała go oklaskami — wołano autora — autor umierający z nieśmiałości i zakłopotania pojawił się, prowadzony za rękę przez dyrektora, i wykonał odpowiednią ilość uniżonych ukłonów. *Postęp* obszedł się wspaniałomyślnie z utworem pisarza, należącego do przeciwnego obozu, rozebrał wszystkie jego zalety i nie szczędził mu pochwał. Tylko panna Natalia milczała i o całości przedstawienia, równie jak i o szczegółach onego, nie znazła do powiedzenia nic więcej, jak tylko to:

— Czy to hrabianka Gozdawicka była w tej loży, w której znajdował się p. Mitręga?

— Tak jest. Jakże pani znajduje moją sztukę, czy bardzo nudna?

— Znajduję... że powinna pudrować włosy, bo mają odcień wcale niepiękny. Nie do twarzy jej także w różowym kolorze.

— Jakto, mojej sztuce?

— Ej, ktoby tam mówił o takich nudziarstwach. Mówię o pannie Gozdawickiej.

Stanisław westchnął. Co mu po wszystkich tryumfach autorskiej miłości własnej, skoro ta, na której zdaniu najwięcej mu zależało, nie chciała ich z nim dzielić. Ukarał się, cofając swój dramat z repertoaru, pod pozorem zmian, które w nim zrobić zamierza.

Innym znowu razem, panna Natalia dała bardzo wyraźnie do zrozumienia Stanisławowi, że podziela milicyjski sposób zapatrywania się na literaturę jako na źródło chleba powszedniego — w czem zresztą miała słuszność i ona, i mieli ją Milicjanie. Najlepiej byłoby, gdyby literatura i sztuka mogły być jedynie źródłem sławy, a nie potrzebowały dostarczać wyznawcom swoim tak prozaicznej rzeczy, jak chleba.

Stanisław polubił był swój nowy zawód i poświęcał mu się z zapałem. Nieprzychylny sąd panny Natalji dotknął go boleśnie.

— Więc sądzisz pani...? — rzekł skonfundowany.

— Sądzę, że z dwojga złego wolałabym już, abyś pan był profesorem. Zawsze to coś pewniejszego.

— Nie bardzo, jak tego miałem przykład.

— Przynajmniej nie miałbyś pan żadnych zobowiązań wobec pana Mitręgi, i nie powtarzałbyś wciąż, że jest pańskim dobrodziejem!

»Pan i pani«, to tytuły dość sztywne między narzeczonemi, ale Stanisław nie mógł zdobyć się na odwagę i prosić Natalji o zmianę w tej mierze. Śmiechowski miał najzupełniejszą słuszność, utrzymując, że młody jego przyjaciel posiada wszelkie kwalifikacje na męża zostającego pod pantoflem żony. I tym razem jedno jej słówko wystarczyło, aby go skłonić do wysileń w celu odzyskania utraconej posady.

Królewski Ober-komisarz Milicji i Landwerji powrócił był oddawna do Wilkowa, jemu tedy postanowił nasz bohater przedłożyć swoją sprawę. Prosił o audjencję, którą uzyskał bez wielkich trudności. Ma się rozumieć, że nim był przypuszczonym do oglądania twarzą w twarz tego dygnitarza, ten ostatni przywołał poprzednio swojego sekretarza, który nosił za nim w protfelu jego oberkomisarski rozum stanu i talenta administracyjne, równie jak dawniej giermkowie nosili za rycerzami ich zbroje i miecze. Ten zdał sprawę, co zacz jest Wołodecki, i o co może prosić, a co mu można odpowiedzieć. Na nieszczęście sekretarz ten, pod nieobecność ober-komisarza, stał się był sprawcą dymisji, danej Stanisławowi, i nie mógł tedy dać o nim korzystnej informacji.

Grandowie milicyjscy są po największej części w istocie grandami, t. j. ludźmi nadzwyczaj słusznego wzrostu. Baron Koniecpolski, rzeczywisty tajny podczaszy, kawaler orderu Srebrnego Niedźwiedzia, i ober-komisarz Milicji i Landwerji, należał do ich rzędu, a nawet przewyższał ich po części o parę centymetrów. Przyjął on Stanisława ozięble, i z góry, t. j. z pełnej wysokości dwoch metrów. Z bijącem sercem bohater nasz opowiedział mu swoją historję.

— Dobre to wszystko — rzekł Jego Łaskawość — ale panowie szerzycie między młodzieżą zasady bezwyznaniowe, czego na żaden sposób cierpieć nie można.

— Wasza Łaskawości, przedmiot, który wykładałem, nie ma przecież nic wspólnego z religią!

— A... a jakiż to przedmiot?

— Wykreślna geometrja.

— Hm, więc pańskiem zdaniem wykreślna geometrja nie ma nic wspólnego z religią? To bardzo źle. To bardzo niedobrze. Wychowanie młodzieży musi opierać się na zasadzie religijnej. Religia jest fundamentem rodziny, społeczeństwa i państwa, i... i... fundamentem wszystkich nauk.

— Ale geometrja wykreślna...

— Nie powinna także wykreślać nic sprzecznego z naukami kościoła. Pan miewałeś także odczyty popularne?

— Jeden, o rozbiorze widma słonecznego.

— A czy widma mają co wspólnego z geometrją wykreślną? Dlaczego pan nie zostałeś w obrębie swojego przedmiotu?

— Wasza Łaskawość raczy zważyć, że do odczytów popularnych wybiera się przedmioty, mogące obudzić zajęcie powszechne.

— Nie powinno się wybierać przedmiotów, które szerzą pojęcia bezwyznaniowe. W odczycie swoim powiedziałeś pan (tu J. Ł. pan oberkomisarz zajrzał do notatek, które miał na stoliku, i ciągnął dalej z tryumfującą miną), że słońce z czasem wypali się i wystygnie. Tego rodzaju zasady są zupełnie niezgodne z bezpieczeństwem państwa, ze spokojem i porządkiem publicznym, i z religią. Co pan masz na to do powiedzenia?

Na tę interpelację, wygłoszoną bardzo ostro, bohater nasz zmięszał się do reszty.

— Zapewne — rzekł jąkając się — że... gdyby słońce wystygło, to...

— To co? Mów pan, mów!

— Byłoby... bardzo zimno...

— A widzisz pan! i poco to głosić podobne nonsensa! Zresztą, być może — dodał, przypatrując się skruszonemu ex-pedagogowi, który nie wydawał się człowiekiem zbyt niebezpiecznym dla państwa i społeczeństwa — być może, iż postąpiono z panem zbyt surowo. Zobaczymy, co się da zrobić.

Tu nastąpiło owe majestatyczne skinięcie ręką, którem kończą się wszystkie posłuchania. Stanisław ukłonił się głęboko i wyszedł, nie wiedząc, jaki skutek odniosła uniżona jego prośba o cofnięcie dymisji. My wszakże, którzy duchem tylko obecni jesteśmy w sali audyencjonalnej, pozwolimy sobie zabawić tam jeszcze chwilkę.

— Panie Giermecki! — zawołał Jego Łaskawość. Sekretarz oberkomisarjatu pojawił się na to wezwanie.

— Wasza Łaskawość rozkaże?

— Ten Wołodecki nie wydaje mi się tak podejrzanym, jak go przedstawiono. Powiadasz pan, że pisuje do gazet?

— Ma nawet bardzo dobre pióro.

— Zanotuj mi pan to; może będzie można zrobić co z tym fantem. Cóż tam więcej?

— Zacierkiewicz czeka...

— Jaki Zacierkiewicz?

— Ten, któremu Wasza Łaskawość kazałeś przyjść, gdy była tutaj pani Swatalska.

— Aha, ten fabrykant spirytusu! Dobrze, dobrze, niech wejdzie.

Wszedł pan Zacierkiewicz, z miną niezbyt pewną siebie. Każdy fabrykant spirytusu może mieć dobre i czyste sumienie, ale mieć go nie *musi*, wobec reprezentanta władzy. Pan Zacierkiewicz, otrzymawszy wezwanie, ażeby się jawił wobec p. oberkomisarza, już od dwudziestu czterech go-

dzin porównywał w duchu ilość wykazanego i opodatkowanego zacieru w swoich gorzelniach, rozmiary kadzi, kotłów itp. z ilością wypędzonego spirytusu, i nie czuł się pewnym, ażali bystre oko zwierzchności nie odkryło tam jakiej rażącej dysproporcji. Czuł ztąd pewien niepokój duszy i doznał tem przyjemniejszego rozczarowania, gdy Jego Łaskawość powitał go poufałym i uprzejmym tonem:

— A, pan Zacierkiewicz! Cieszę się bardzo! Niech pan siada, panie Zacierkiewicz!

Pan Zacierkiewicz usiadł.

— Pan masz znaczny majątek?

— Ot tak, przy pomocy boskiej, uzbierało się parękroćstotysięcy.

— I córki?

— Trzy.

— Hm, hm — wartoby pomyśleć o zięciach!

— Moje córki są jeszcze bardzo młode.

— Ale zawsze najstarsza będzie już miała...

— Lat szesnaście.

— To właśnie najlepsza pora, ażeby pannę wydać za mąż.

— Być może, skoro Łaskawość Wasza tak twierdzi; ale ja się nie spieszę.

— Bo to, widzisz pan, chciałem właśnie pomówić z panem w tym interesie. Jest tu jeden młody człowiek, którym ja się poniekąd interesuję... to jest, którego mi z pewnej strony gorąco polecono. Z bardzo dobrej familji, prawie baron... niejaki pan dr. Mitręga.

— Znam go. Ale jakiż związek...

— Związek! Właśnie mi chodzi o związek. Proszę pana o rękę pańskiej córki dla p. Mitręgi. Cóż pan na to?

— Wasza Łaskawość, moja córka nie dla p. Mitręgi, a p. Mitręga nie dla mojej córki. Prawie baron, niech się żeni z prawie baronówną, a ja moją córkę wydam za gorzelnika.

— Cóż pan masz przeciw p. Mitrędze? Mówiono mi, że jest szalenie zakochanym w pannie Zacierkiewicz!

— Nie musi być tak bardzo zakochanym, bo widział ją wszystkiego raz w życiu, i przyszedł oświadczyć mi się o nią, gdy dostał kosza od panny hrabianki Gozdawickiej. Mam zaś przeciwko niemu to, że jest hołyszem i próżniakiem, i że ożeni się z moją córką chyba na to, ażeby roztrwonić, co ja ciężko zapracowałem.

— Więc pan odmawiasz?

— Stanowczo.

— Ha, no, cóż robić! Żegnam, panie Zacierkiewicz!

— Ścielę się do stóp Waszej Łaskawości.

Wyszedł pan Zacierkiewicz, a Jego Łaskawość mruknął coś pod nosem o... niekoniecznie błogosławionych, babach, które mu nie dały spokoju.

— Zresztą, zrobiłem co mogłem; nie mogę przecież zmusić go przez żandarmerję, ażeby wydał córkę za tego jakiegoś Mitręgę.

Mimo to, Jego Łaskawość w gruncie był bardzo zdumionym, że taki gorzelnik, jak Zacierkiewicz, mógł odmówić ręki swojej córki młodemu człowiekowi, w którego imieniu on sam o nią prosił.

Niemniej zdumionym będzie zapewne także i łaskawy czytelnik, dowiadując się, że Ober-Komisarz Milicji i Landwerji raczył interwenjować w tym wypadku na korzyść pana doktora, którego dotychczas widywaliśmy zawsze w sferach tak mało mających łączności z reprezentacją Chaocji, jak hr. Albin Skirgiełło. Kilka słów wystarczy na wytłumaczenie tej zagadki.

(C. d. n.)

LISTY T. T. JEŻA.

Zima minęła. — Srogość zimy minionej — Pomnik Nonnensdorfski — Zwroty do dawnych czasów — Napis — Szkoda legendy — O podaniach w Szwajcarji — Przesądy i gusła — Dom, w którym coś straszy — Zamek warjatów — Oświata wyższa i niższa — Jubileusz w Zurichu — Akademje i uniwersytety kantonalne — Politechnika federalna — Służba dwudziestopięcioletnia — Czyn piękny i rozumny.

Zima, zdaje się, minęła nakoniec, zdaje się, powtarzam, albowiem zaledwie wierzyć się chce, że śniegi już zniknęły, że mrozy ustąpiły, że nareszcie na drzewach pokazywać się poczynają pączki, zwiastujące liście i kwiaty. Nie ma zresztą pewności zupełnej, że nie powróci jeszcze. W Szwajcarji jest ona fantastyczną: zdarzają się lata, w których folguje w lutym i ze srogością całą spada w miesiącu maju, niszcząc zarodki owocowe, źdźbła jarzyn i latorośle winne. Może jednak nie nastąpi to obecnie z tego bodaj powodu, że srogość wielką wywarła zima w miesiącach zimowych, trwając ciągiem jednym od początku listopada do połowy marca. A srogość ta była nie lada, kiedy mieszkańcy Nonnensdorfu na upamiętnienie tego, że przetrzymać ją zdołali, pomnik postawili. Pomnik to wprawdzie nie nader kosztowny — właściwie nie kosztuje on nic, pracy jeno trochę zbiorowej, do której ludność cała ręki dołożyła, wyciągając z jeziora Konstancyeńskiego ważący sto kętalów kamień erratyczny i zawlekając takowy przed kaplicę. Przypomina to stare dzieje, odnoszące się do tych czasów, w których ludność uczuwać poczynała potrzebę notowania sobie w pamięci zdarzeń ważniejszych. Tam sypano mogiły, owdzie ustawiano kamienie. W Szwajcarji zwrot taki ku czasom dawno minionym i zapomnianym powtarza się kiedy niekiedy. Mieszkańcy Nonnensdorfu przenieśli się w czasy one: wyciągnęli z jeziora kamień, ustawili go przed kaplicą i opatrzeć go mają napisem, wiadomym, że jakkolwiek zima z r. 1879 na 80 nie do wytrzymania była, wytrzymali jednak takową. Zdaniem mojem bez napisu tego obejśćby się wygodnie można. Fakt sam w sobie nie jest nadzwyczajnie ważny; pozostanie zresztą w zapiskach meteorologicznych; ważniejszą zaś jest ta legenda, która, gdyby napisana nie była, otoczyłaby ów kamień w pokoleniach następnych. Szkoda legendy tej, w zarodku zabitej w fantazji ludowej, bujnej niemniej w Szwajcarji jak gdzieindziej. Szkoda jej! Wolno atoli pocieszać się nadzieją, iż czas zatrze napis i to co nastąpić miało wcześniej, nastąpi później nieco.

Ojczyzna Tella, mimo wysoki stosunkowo stopień oświaty, na jakim stanęła, przepełnioną jest podaniami, o ile poetycznemi, o tyle nieprawdziwemi, a nawet nieprawdopodobnemi, opowiadanemi przy kominku przez babki siwowłose i słuchanemi z zajęciem wielkiem przez pokolenia podrastające. Zdaje się, że ludzkość bez tego obejść się nie może, że świat fantazji ma prawa swoje, których się trzyma na przekór argumentom najbardziej przekonywającym. Jest to w rodzaju swoim ciekawość, stanowiąca psychicznej człowieczeństwa strony właściwość, którą zauważyć warto.

Powiem jednakże ciekawość większą jeszcze. Zdawało się, że oświata, jeżeli nie usunęła legend i podań, to cios śmiertelny zadaćby powinna przesądom i gusłom. Owoż nie. Przesądy i gusła kwitną w Szwajcarji w najlepsze, i to nie w górach tylko, nie w ustroniach, do których dostaje się z trudnością promień tak słońca jak nauki, ale w miastach, w miastach takich jak Bern, Zürich, jak Lozanna, jak Genewa nawet. Nie produkują się one otwarcie; nie rzucają się w oczy od spojrzenia pierwszego; istnieją jednak pod postaciami lecznictwa, wróżbiarstwa i prognostyki, z których dwie pierwsze mianowicie dają chleb znacznej liczbie szarlatanów, spekulujących na łatwowierność publiczną. Damy, przepowiadające przyszłość wedle kart, dłoni i inaczej, jako też lekarze, uzdrawiający za pomocą sposobów, obcych całkowicie nauce medycyny, mają się bardzo dobrze pod względem dochodów. Jeden z takich panów pobudował sobie wspaniałą w pobliżu Lozanny willę, odwiedzaną przez płci obojej pacjentów, należących do sfer wysoko oświeconych.

W pobliżu Lauzanny też, nad jeziorem Lemańskiem, wybudowany starannie i otoczony parkiem obszernym, wznosi się piękny nowy dom, w którym właściciel nie mieszka i którego nikt nająć nie chce. Od dziesiątka, może więcej lat, pustką stoi. Możnaby go nająć bardzo tanio. Kupiec się nie trafia. Ludzie stronią od budowli tej ponętnej, a to dla tej przyczyny, że w niej — *risum teneatis* — coś straszy. „Nawiedzanym jest przez duchy *(elle est hantée par les esprits)*“ — powiadają ludzie prości; nie prości zaś o powód pustek zapytywani, dają odpowiedzi wymijające, sens których jest ten, że w domu tym *quelque chose* mieszkać spokojnie przeszkadza. Wyznam, iż niespodzianką dla mnie było, gdym z czemś podobnem spotkał się tuż pod Lozanną, miastem, w którem szkoła siedzi na szkole i rzadko który mieszkaniec nauczycielem nie jest albo nie był. Niespodzianek atoli tego rodzaju znalazłem więcej, gdym się z miejscowością bliżej zapoznał. Tu, na ruinach bluszczem spowitych, schodzą się cienie mieszkańców pewnych, tam pokazuje się pokutnicza jakaś postać, owdzie znów, w zamku wspaniałym, nowożytnym, przyozdobionym we wszelkie najkosztowniejsze wymysły sztuki architektonicznej, w zamku tym kto zamieszka, ten zmarnieje. Podobnoć w rzeczy samej zamieszkiwał go warjat po warjacie i ztąd urósł przesąd, na pomoc któremu przywołano z czasów odległych podanie o tragicznym jakimś wypadku, przywiązane do miejscowości, na której jedna z potęg finansowych z Paryża wznieść dla siebie kazała pomieszkanie letnie. Zamieszkała w nim i zwarjowała; po niej zwarjowała druga, po drugiej trzecia. Kiedym patrząc ze wzgórka na zamek ten, opo-

wiadania o nim słuchał, znajdował się on właśnie w posiadaniu trzeciej pomięszanej w zmysłach finansowej potęgi. W cieniu drzew błądziła jakaś postać niewieścia z włosem rozpuszczonym, w cienme odziana szaty, napraszająca się o romans. Nikt tam nie wchodził z mieszkańców wsi pobliskich. Mieszkanie finansisty otaczała tajemniczość zagadkowa, będąca zapewne następstwem choroby, wymagającej trzymania ciekawych w oddaleniu. Tajemniczość tę sprzężono z podaniem fantastycznem i zaprawiono przesądem.

Możnaż się dziwić przesądom u nas? Możnaż je brać za złe? W społeczeństwach najukształceńszych znajdzie się zawsze miejsce na wierzenia, odnoszące się do epok pierwotnych, nie dopieroż w społeczeństwach nie nader wysokie pod względem oświaty zajmujących miejsce. Nie jestże to wina samej oświaty, dzielącej się na niższą i wyższą, i niedającej się zniwelować? Radzilibyśmy zapytanie to wziąść pod uwagę reformatorom społecznym.

Dziś i jutro (2 i 3 kwietnia) święci Zürich jubileusz, mający dla Szwajcarji znaczenie ogromne. Dwadzieścia pięć lat temu założoną i otworzoną została Politechnika związkowa, jedyna w Szwajcarji szkoła wyższa, utrzymana kosztem federacji całej. Wszystkie inne szkoły niższe, średnie i wyższe, są kantonalne. Rząd centralny na utrzymanie takowych nie daje ani szeląga złamanego. Kantony utrzymują je kosztem własnym i pod względem tym fakta mówią za jak-największą szwajcarów pochwałą. Żaden z kantonów, nie wyjmując największego i najbogatszego, berneńskiego, nie jest tak zamożnym, ażeby obrachowawszy się ściśle z dochodami, mógł pozwolić sobie na taki zbytek, jak szkoła wyższa, akademja, albo uniwersytet. Mimo to, akademji, nie nazywających się uniwersytetami dla tego tylko, że nie posiadają fakultetów, liczy Szwajcarja dwie, w Lozannie i w Neufchatelu, uniwersytetów cztery, w Bazylei, w Bernie, w Zürichu i w Genewie. Każdy z uniwersytetów tych jest pełnym, to jest na fakultetach, obejmujących zakres taki sam, jak na wielkich uniwersytetach, wykładają się nauki w głównych gałęziach swoich. Gałęzie poboczne pomijają się, albo też wykład owych powierza się docentom, opłacanym przez słuchaczy. W ten sposób umniejsza się znacznie koszt i dzięki zaoszczędzeniu temu kantony mniejsze nawet, jak genewski albo bazylejski, są w stanie podołać wydatkom, jakie zakład wyższy za sobą pociąga. Żaden atoli nie byłby się mógł zdobyć na politechnikę, odpowiadającą wymogom stopnia, na jakim stanęły w ostatnich czasach nauki specjalne. Ani nawet kanton berneński nie mógłby się porywać na to. Nie pozostawało przeto jak jedno z dwóch: albo zdać się na łaskę zagranicy, albo też postawić szkołę siłami wspólnemi. Szwajcarowie chwycili się tego ostatniego i dobrze na tem wyszli. Politechnika zurychska oddała krajowi usługi ogromne, dostarczając od lat 25 techników we wszystkich rodzajach pracy przemysłowej. Wychowańcy szkoły tej prowadzą fabryki, zabudowują miasta, pomagają rolnictwu, kopią kanały, przeprowadzają drogi, stawiają mosty, budują koleje żelazne, zabezpieczają doliny od lawin śniegowych i obrywów kamiennych, pełnią funkcję zaczynu postępowego, przenikającego w najdalsze Alp zagiby i zanoszącego tam ruch i życie. Oni to przewiercili próg olbrzymi św. Gotarda. Pełno ich wszędzie i we wszystkiem. Dali się poznać i za granicą, a dodatek przy imieniu „były uczeń politechniki zurychskiej“, uważanym jest powszechnie jako tytuł zaszczytny, rekomendujący dobrze tego, kogo przyozdabia. Szkoła ta liczy 25 lat czynnej służby i od razu stanęła świetnie, dzięki hojności, z jaką je federacja uposażyła. Snadź Szwajcarja miała na uwadze to, że „skąpy dwa razy traci“, nie pożałowała więc nakładu, i ten opłacił się jej należycie. Jubileusz przeto dzisiejszy ma dla niej znaczenie pamiątki czynu i pięknego i rozumnego — pięknego, ze względu na hojność. na jaką zdobyło się kutwiarstwo demokracji szwajcarskiej, rozumnego, z racji korzyści wielkich, jakie czyn ten sprowadził. Politechnika zurychska jest na kuli ziemskiej jednym z najlepiej zorganizowanych zakładów naukowych, czuwanie zaś nad nią federacji sprawia to, że się rozwija i ulepsza ustawicznie.

HONORARJA LITERACKIE WE FRANCJI

przez

EMILA ZOLĘ.

III.

Po rewolucji 1789 r. wraz z innemi zmianami nastąpiła radykalna zmiana w materjalnych stosunkach francuskich pisarzy. Wkrótce jednak do pewnego stopnia wróciły dawniejsze stosunki. W epoce Napoleona, Ludwika XVIII i Karola X, dworactwo literackie zaczęło znowu się pojawiać. Lecz pod wpływem stopniowo wpływających sił wszystko ulegało przeobrażeniu. Z każdym dniem niemal dostrzedz można było wyraźniej zmiany zachodzące w kierunku literackim, dzięki materjalnym warunkom, wypływającym dla literatury z młodego społeczeństwa. Wszelki nowy kierunek społeczny wywołuje nowy intelektualny.

Liczba czytających znacznie się wzmogła. Gazety zaczęły przedostawać się do wiosek. W ciągu lat 50 książka, która przedtem stanowiła zbytek, stała się przedmiotem codziennej potrzeby. W skutek tego też ceny książek spadły, stawszy się przystępnemi dla szerszego ogółu. Fakta te posiadają stanowcze znaczenie; gdy naród umie czytać i może czytać tanio, handel księgarski wzmaga się, a pisarz z łatwością może zapewnić sobie egzystencję piórem. W skutek tego znów pisarz niezależny od magnackich opiekunów swoich staje się samodzielniejszym twórcą.

Szczególniej znaczne dochody przynosi dziennikarstwo. Pierwszorzędni krytycy, słynni powieściopisarze, nie mówiąc już o specjalnych dziennikarzach, między którymi wielu też odegrało bardzo ważną rolę, dochodzą w dziennikach do znacznych fortun. Wielu dowodzi, że gazeta, dając środki do życia młodym pisarzom, przytępia ich talent i samodzielność, czyniąc ich niezdolnymi do pisania większych utworów. Jest to przekonanie błędne. Prawdziwa siła zawsze oprzeć się zdoła zgubnym wpływom, jeśli wpływy owe istotnie są zgubnemi. Ci zaś, którzy istotnie zmarnowali się śród dziennikarskiej pracy i w innych warunkach nie przynieśliby większych literaturze korzyści.

Wydawnictwo książkowe samo przez się nie może, z małemi wyjątkami, zapewnić stałego utrzymania pisarzowi. Natomiast teatr przynosi znaczne dochody. Przypuśćmy, że sztuka sto razy z rzędu była odegraną — zwykła to cyfra dla sztuk mających powodzenie — wtedy przeciętny dochód wynosi 4.000 fr. za przedstawienie brutto, co pomnożone przez 100, przynosi kasie teatru 400.000 fr., z których przypada autorowi 40.000 fr., jeśli tantiema wynosiła 10 procent.

W ciągu ostatnich lat 50 pracą literacką pisarze dochodzili do znacznych majątków. Dość przytoczyć tu kilka faktów. Eugeniusz Sue, dzięki powodzeniu, jakiego doznały jego *Tajemnice Paryża*, sprzedawał następne powieści nader drogo. Jerzy Sand, zmuszona żyć z początku bardzo skromnie, opływała następnie w dostatkach. Najwięcej jednak pieniędzy przeszło przez ręce Aleksandra Dumasa, który rozproszył miljony w ciągu swego lekkomyślnego i nieporządnego życia. Należy również wspomnieć o Wiktorze Hugo, który doczekał się znacznej fortuny. Pobobnież Aleksander Dumas syn, lub Wiktoryn Sardou, mieszkający obecnie w pięknym swym pałacu w Marly.

Co się tyczy w ogóle pensyj, zmieniły one dzisiaj swój charakter, o ile jeszcze istnieją. Państwo płaci obecnie wprawdzie pensje literatom, ale tym tylko, którzy doszedłszy do późnego wieku nie zdołali zabezpieczyć się materjalnie; udziela je mu w charakterze fikcyjnego długu, aby nie obrazić miłości własnej pisarza. Pensje są obecnie wynagrodzeniem za pracowicie spędzony żywot. W obecnych czasach najwyższe pojęcie, jakie możemy mieć o pisarzu, jest to pojęcie o człowieku swobodnym, niezależnym, który nikomu nie pochlebia, zawdzięczający byt swój swemu talentowi, swej sławie który służy swojej idei, nic w zamian od niej nie żądając.

Obecnie z łatwością nam przyjdzie określić współczesny kierunek literacki, a tem samem porównać go z literackim kierunkiem przeszłych wieków.

Przedewszystkiem salonów obecnie nie mamy. Wiem, że próżne panie *bas bleu* naszej demokracji chełpią się tem, że przyjmują u siebie literatów. Salony te jednakże odmienny mają charakter. Nie jest to ów zbiór utalentowanych ludzi, sympatyzujących wzajemnie ze sobą i grupujących się dokoła kobiet. W zebraniach tych literatura stoi na ostatnim planie — przeważa polityka i stosunki towarzyskie. Niepodobna nazwać salonami apartamentów, w których ogniskują się polityczne agitacje i gdzie gwoli przypadkowi lub potrzebie, wyrastają jak grzyby po deszczu zacięci przeciwnicy nowego literackiego kierunku, mający nieraz pretensje przewodzić rewolucyjnym lub postępowym ideom.

Upadek literackich salonów jest objawem nader ważnym, dowodzącym że zamiłowanie do literatury rozpowszechniło się i rozrosła się liczba czytających. Gdy małe wybrane kółka, mające każde swojego bożka, przestają być przedstawicielami opinii publicznej, to się znaczy, że sędzią i krytykiem rostrzygającym o powodzeniu pisarza jest czytająca publiczność. Istnieje widoczny związek między coraz bardziej rosnącą liczbą czytelników i upadkiem salonów. Bezwątpienia salony upadły w skutek tego, iż nie były już wstanie kierować publicznością silnie rozrosłą i nie chcącą poddawać się uzurpowanym powagom. Istniejące dotychczas nieliczne koła literackie głównie w świecie akademickim, także czują swoją bezsilność i nicość, a strwożone potopem książek, zmuszone są szukać ocalenia w martwej starzyznie. Jest to

— agonia starego literackiego kierunku, na którą przyszło z żalem patrzeć Sainte Beuve'owi.

Dodać do tego należy, że akademji również już nie ma, t. j. nie istnieje już jako siła wpływająca na ruch literatury. Walki o krzesła toczą się wciąż jeszcze, podobnie jak o ordery, dzięki wrodzonej nam próżności. Lecz akademja nie wydaje już praw i traci wszelki swój wpływ na język. Publiczność nie przywiązuje żadnej wagi do rozdawanych przez nią nagród, które zwykle dostają się miernościom. Rewolucja romantyczna przeszła mimo akademji, która następnie zmuszoną została z romantyzmem się pogodzić; obecnie gotowa ona uczynić tożsamo z kierunkiem naturalistycznym. W ten więc sposób akademja okazuje się przeszkodą dla literatury. Obecnie uczony i obszerny słownik Littrego daleko większą cieszy się popularnością niż słownik akademji. A cóż dopiero powiedzieć o ciosie, jaki 1830 r. zadali jej pierwszorzędni pisarze w porywach dumnej samodzielności, tworząc nowe słowa i zwroty, odrzucając uświęcone wyrażenia, wprowadzając neologizmy do każdego nowego utworu.

W ten sposób wielki ruch społeczny w XVIII wieku odbił się w naszem stuleciu na literaturze. Gdy pisarze pozyskali niezależne środki egzystencji, znikło wszelkie pojęcie literackich hierarchij, wykształcenie zajęło miejsce rodowej wyższości, a praca stała się zaszczytem. Koterje upadły wobec publiczności a nowe dzieła powstają z tłumu dla tłumu. Nareszcie nauka wcisnęła się do literatury i to jest właśnie cechą współczesnego kierunku naturalistycznego.

Porównajcie położenie pisarza z czasów Ludwika XIV z położeniem dzisiejszego pisarza. Po której stronie spostrzegamy zupełną niezależność indywidualną, prawdziwą godność, większą sumę pracowitości? Po stronie chyba społecznych pisarzy. Czemu zawdzięczają oni wszystkie te nieocenione właściwości? Bezwątpienia swobodnej pracy i niezależności osobistej, które uczyniły ich wolnymi obywatelami i niezależnymi ludzmi.

Dowodzą jednak niektórzy, że pisarz powinien ubiegać się jedynie o sławę. No tak, zapewne; powtarzać podobne zdania jest dziecińﾠstwem. Trzeba przecież żyć. Cóż poczniecie, jeśli się nieurodziliście w dostatkach. Może zechcecie wrócić do owych czasów gdy Rasyn drżał przed spojrzeniem Ludwika XIV, gdy literatura pozostawała na łasce grubej i ciemnej magnaterji? Jakąż niewdzięcznością odpłacacie się naszej wielkiej epoce? Boczyż to zaszczytnie pozostawiać literaturę na cudzej łasce. Torujcie sobie drogę, karmijcie się kartoflami i grzybami, tłuczcie we dnie kamienie a w nocy pisujcie poematy. Zapamiętajcie tylko o jednem: jeśli posiadacie talent i potęgę, to mimowoli zdobędziecie sławę i pieniądze. Takiem jest życie, taką nasza epoka! Na cóż się zdadzą niemowlęce przeciw niej bunty!

ROZMOWA

PIERWSZY.

Jaki świat piękny! — W majowej szacie
Ziemia oddycha piersią szeroką,
Słońce w promiennym swym majestacie
W błękit wytęża złociste oko —
Wietrzyk łagodnie powietrze chłodzi
I senne kwiaty do snu koleba —

DRUGI.

Cóż mnie ta piękność świata obchodzi? — —
Ja nie mam chleba!

PIERWSZY.

Co za wspaniały pomnik przeszłości,
Jakiej struktury ten gotyk stary!!
Ileż powagi w tych łukach gości,
Wspartych o smukłe filary!
Ileż arcydzieł wnętrze zamyka!
Ktoż je ocenić, kto zliczyć może?
Tu Michał Anioł obok Van-Dycka,
Tam znowu Rubens przy Salwatorze,
Ówdzie Canovy gladjator młody
Z Praksytelesem idzie w zawody.
Wśród tych dzieł sztuki w człowieka łonie
Prąd myśli bożej iskrą przebiega,
Troska codzienna w jakąś mgłę tonie
I cichy spokój serce zalega...
Z duszy boleści znikają skazy,
Serce się kornie wznosi do nieba!

DRUGI.

Ja myślę, ile za te obrazy
Byłoby chleba!

PIERWSZY.

Przed bohaterem pochylmy głowy,
Drogę usłajmy liściem i kwiatem,
To Aleksander, to Cezar nowy,
On kraj nasz sławą odkrył przed światem,
Potężne ludy mieczem poskromił,
Pysznych mocarzy wojska rozgromił!
Sława ojczyźnie, co go wydała,
Niechaj przenika świata posady!
Chwała tej ziemi i jemu chwała!!
A ty dlaczego człowiecze blady,
Spozierasz wkoło z gorzkim uśmiechem?...
Ty drwisz, wyrodny tej ziemi synu!!
O! To jest więcej, niżeli grzechem,
Słów brak na nazwę takiego czynu!
Ludu! To zdrajca! Zdrajcy niech giną!
Za taki cynizm kary potrzeba!!

DRUGI.

Panowie! Moją jedyną winą,
Że nie mam chleba!!

Bolesław Czerwieński.

WOŁY ROBOCZE

SZKICE PATOLOGICZNO-SPOŁECZNE

przez

Autora kłopotów starego komendanta.

II.

Wół roboczy Matka.

(Dokończenie.)

Już Fedko nakrył do stołu, już dwa razy przychodził meldować, że pan woła o obiad, a nasze panny nie mogą skończyć toalety; skorzystajmy więc z tego, aby im się bliżej przypatrzyć. Obydwom pan Bóg nie odmówił wzrostu, a wdzięki jak najsprawiedliwiej rozdzielił na wzór i podobieństwo rodziców. Dziudzia, to kubek w kubek papa dobrodziej z zadartym noskiem, z buzią jak księżyc, i dwiema niebieskiemi kropkami zamiast oczu. Podobnie jak papa ma inklinacją do tycia, a choć Olena nie żałuje rąk przy ściąganiu tasiemek sznurówki, to swoją drogą wszystkie wdzięki biustu nie mogąc się pomieścić w wyciętym staniku, mają nieprzepartą chęć przelewania się na zewnątrz. Ciucia za to z płaską nieco naprzód pochyloną figurą, ma wiele podobieństwa do wierżby płaczącej, posadzonej na grobie Napoleona pierwszego. Wszystko na niej wisi i fałduje się z przodu, na plecach, na rękawach, pomimo, że mama dobrodziejka zużyła cały swój talent krawiecki, aby te płaszczyzny jakoś pofalować. Nawet nos podobniutki do maminego nosa także zdaje się płakać nad marnościami świata tego, a niesforne włosy proste jak drut ciągle zbiegają z głowy na czoło, odstając nad czołem jak okap słomianej strzechy nad chatą. — Pan Klemens i mama wynaleźli jednak w niej bardzo piękne oczy, z czego korzystając Ciucia, po całych dniach stawa przed źwierciadłem i musztruje takowe na wzór i podobieństwo osoby melancholijno-sentymentalnej.

Panna Dziudzia z powodu świeżej młodzieńczej cery uchodzi za przystojną; gdy mowa o Ciuci, kawalerja z sąsiedztwa tylko wzrusza ramionami przez grzeczność, ztąd też w całem obejściu się starszej siostry z młodszą dostrzedz można pewnego rodzaju lekceważenie i litość, jakie się ma dla osób, ktore z nami rywalizować nie mogą; — skutkiem czego młodsza panna Pyszczyńska z całej duszy nienawidzi starszej panny Pyszczyńskiej, i gdzie może i jak może stara się jej dokuczyć.

Pan Klemens, jak widzieliśmy, człowiek dobry z gruntu, choć prędki, ma jedną tylko fatalną wadę wobec córek, że nie lubi wydawać groszy i ciągle narzeka na biedę. — Mama czy wierzy, czy też udaje, że wierzy, ale wtóruje mężowi i coraz bardziej się oszczędza, zastępując wszelkie braki osobistą pracą. Wprawdzie panna Dziudzia, posiadając niezły talent do rachunków, inne ma wyobrażenie o biedzie papy i czasami z kredką w ręku, jak to mówią, przyciśnie ojca do muru, gdzie to podział tyle a tyle tysięcy rubli wziętych za pszenicę, ale pan Klemens i z tej pozycji potrafi się wywinąć, składając wszystko na różne zwyczajne i nadzwyczajne podatki.

Od niejakiego czasu, kręci się koło panny Dziudzi najbliższy sąsiad, pan Stanisław, młodzieniec małego wzrostu, z wejrzenia niepokaźny, z twarzą sromotnie piegowatą i jednem okiem patrzącem nie w tę stronę gdzie drugie patrzy. — Pan Stanisław jest tylko posesorem, ale jak Dziudzia objaśnia wszystkich, którym go prezentuje, posesorem płacącym ośm tysięcy rubli z posesji, którego matka pani Korsakowska ma grube leżące pieniądze i kilka rentownych udziałów w sąsiedniej fabryce cukru. — Prócz tego, młody sąsiad jakkolwiek tak niepozornie wygląda i zanadto przez mamę wodzony jest na pasku, ma dużo przymiotów, zasługujących na szacunek: prześliczną czwórkę siwków, któremi

z szykiem powozi, i wysoką edukację, bo zwiedził dwie światowe wystawy, jedną wiedeńską, drugą paryską, choć (co bardzo irytuje pannę Dziudzię), nigdy się o Paryżu nie odzywa.

Ale wszystkie te braki syna, sowicie wynadgradza matka, osoba już w wieku, niezwykłej tuszy, od dłuższego czasu chorująca na nogi. Rzadko gdzie udzielając się sąsiedztwu, zrobiła jednak ten wyjątek, że była parę razy z wizytą w Hryczkówce, a panna Dziudzia nie może się odchwalić co to jest za miła, dobra i wykształcona osoba. — Skoro tylko powóz państwa Korsakowskich pokaże się przed gankiem, już ona jest przy drzwiczkach, wysadza razem z papą matronę w aksamitnej mantyli, każe się jej opierać na swojem ramieniu, prowadzi po schodach, usadza na kanapie, przynosi stołeczek pod nogi, pakuje za plecy poduszkę i patrzy z takiem uwielbieniem na tę rumianą twarz pani, jakby chciała się do niej modlić...

Przyznaję tu otwarcie, że właśnie ta nieograniczona uprzejmość dla staruszki, którą pan Stanisław kochał nad życie — głównie pociągnęła jego serce dla Dziudzi. Nie chcę posądzać panienki o fałsz jakiś — nie. Panna Dziudzia miała w swojem charakterze coś, z czem bardzo często w życiu spotykać się można, to jest, że o ile dla swoich była roztargnioną a nawet lekceważącą, o tyle dla obcych starała się być niezwykle grzeczną, szczodrą i usłużną. Skutkiem więc tak kontrastowego usposobienia lubiła wszystko to, co pani Korsakowska: kwiaty, pasiekę, płótna i bryndzę domowej roboty, a wreszcie młodą kukurudzę, notabene tylko z solą bez masła. — Pojęcia o życiu i obowiązkach również miały jednakowe: pani Korsakowska była tego zdania, że dzieci do samej śmierci powinne bezwarunkowo słuchać rodziców i wolę ich szanować — panna Dziudzia szła jeszcze dalej, bo obowiązki te rozciągała do wszystkich osób starszych wiekiem. Pani była za rannem wstawaniem gospodyni domu, — panna utrzymywała, że już od trzeciej godziny z rana nigdy spać nie może, bo ją coś tak z łóżka podnosi, aby wstała. Matka pana Stanisława utrzymywała, że modny strój dla kobiety jest pierwszą kwalifikacją do zepsucia, — Dziudzia gotowa była obchodzić się liściem figowym tylko, gdyby Podole w raj się mogło zamienić, to jest, gdyby pan Bóg zechciał zesłać anioła z mieczem, któryby te wszystkie strojnisie, sprowadzające kapelusze z Warszawy lub z zagranicy, jak panią Sałacińską, Strzępkowską i t. p. na kraj świata powypędzał. —

Skoro więc egzamen przyszłej synowej dla Stasia, wypadł tak pomyślnie z panną Dziudzią, syn dostał zupełne exequatur starania się o jej rękę, skutkiem czego parę razy w tygodniu prezentował swoją czwórkę siwoszów w Hryczkówce — Boże kochany, co jabym tu musiał napisać arkuszy, aby choć w jednej setnej powtórzyć te poetyczne rozmowy tych państwa... Pan Stanisław, mimo piegów i zyza, w duszy był prawdziwym poetą i na życie patrzył, jak na kwiaty, wyciągające swe główki ku słońcu... Z całą naiwnością kochał wszystko co piękne, a na każde wspomnienie o cierpieniach ludzkości, zaraz łzy stawały mu w oczach, a jasne czoło pokrywało się bruzdami. — Z natury jest nieśmiałym, ale niech go coś wznioślejszego porwie — mówi z takim ogniem i namaszczeniem, że brzydota jego niknie, a Dziudzi zdaje się (o czem go tylekroć zapewniała), że widzi Słowackiego w Egipcie, lub Bajrona na pokładzie, gdy żegna ziemię ojczystą.

Sądzę, że będzie dosyć o tej miłości, bo oto czwórka siwków zaprzężonych w poręcz, niby huragan jaki, wpada na dziedziniec Hryczkówki. — Przejeżdżając próg bramy, amerykanka skoczyła jak człowiek, któremu ktoś da kułaka za plecy; pan Stanisław zachwiał się na koźle, jednak zdrowo i cało zajechał przed ganek.

— Panie Stanisławie, czy to się godzi, pędzić tak po warjacku! — odzywa się Dziudzia, witając go we drzwiach salonu. — Tak się przelękłam, że serce bije jak młotem...

Za całą odpowiedź pan Stanisław chwycił obie ręce panienki i spojrzał na nią z taką wdzięcznością, niestety prawem tylko okiem, bo lewe patrzało na dziedziniec, że Dziudzia musiała zapłonąć.

— Leciałem na skrzydłach, z obawy, czy mię kto nie wyprzedził...

— Pod jakim względem?

— W zamówieniu pani do wszystkich kontredansów i do wszystkich mazurów na dzisiejszy wieczór w Stepkowie.

— Więc pan tam będziesz?

— Jeżeli państwo pozwolą towarzyszyć sobie; właśnie przyjechałem w tym celu...

— A mama?

— Mama trochę cierpiąca i została w domu...

— Mój Boże! a cóż jej takiego? — zapytuje panna z przestraszoną miną...

— Mała niedyspozycja, zmęczyła się trochę wczoraj... Wystaw sobie pani, koniecznie uparła się sama smarzyć dla mnie konfitury z dereniu... Prosiłem, błagałem i, przyznaję się pani, sam chciałem zastąpić ją przy kominie, ale nie i nie, i zdaje się, że się zaziębiła trochę, bo ma chrypkę...

— Cóż to za dobra matka — odzywa się na to Dziudzia, podnosząc oczy ku sufitowi. — I pan możesz ją opuścić w takim stanie?...

— Pani nie wie, co mnie tu ciągnęło?

— Słyszałam; kontredanse i mazury — mówi z odcieniem pewnej ironii.

— Ale z kim?

— Byłabym więcej panu wdzięczną, gdybyś pozostał przy mamie... Biedna ona, cierpi i nudzi się...

Uwaga ta rzeczywiście zasępiła trochę wesołą twarz pana Stanisława, lecz swoją drogą jeszcze bardziej spotęgowała uczucie jego do Dziudzi.

— Pani mię zawstydzasz trochę...

— Bo się to panu należy... Matka u mnie jest świętość... jest coś, coś... dla czego porównania znaleść nie mogę... Przyznaj pan, nie czujesz z tego powodu wyrzutu?

— Prawda, czuję, ale zarazem opanowuje mię i zazdrość...

— O co?

— Że pani przez swoją dobroć dla mojej mamy, zepchnęłaś mię w jej sercu na drugie miejsce.

— Nie wiedziałam, że pan jesteś takim egoistą — to brzydko — mówi z figlarnym uśmiechem — Panowie wszyscy tacy; chcielibyście dla siebie zagarnąć świat cały.

— Aby go u stóp pań złożyć.

— W komplementach.

— I w czynach.

Dziudzia zakłopotała się trochę, czując, że zbliża się ta najdrażliwsza i najponętniejsza dla kobiety chwila, w której mężczyzna ma jej oświadczyć swą miłość, której co do pana Stanisława, oddawna sobie życzyła.

— Ho, ho, czyny trochę są trudniejsze niż słowa... — mówi, obrywając listki z róży, stojącej z wazonkiem na oknie...

— Trudniejsze są tylko do wyjawienia i przekonania pani, że są na jej rozkazy. Chciej pani chcieć...

Być może, panna Dziudzia zdecydowałaby się chcieć, gdyby w tej właśnie chwili ta nieznośna Ciucia, która zdaje się podsłuchiwała tę rozmowę, z sąsiedniego pokoju nie weszła z szelestem do sali.

— Dziudziu, serce — mówi, witając pana Stanisława — mama cię woła, żebyś się ubierała, bo to już czas jechać, Wańko zaprzęga do powozu...

Maleńkie oczy panny zaiskrzyły się raz na te słowa, a zaiskrzyły się powtórnie, gdy odchodząc, zobaczyła przy jej sukni owe koronki, odprute od sukni matki.

— Bardzo ładnie mama sobie postąpiła — rzecze cała w ogniu, wchodząc do swego pokoju, w którym matka z klucznicą przypinały jeszcze coś do jej sukni.

— Cóż takiego, moje serce?

— Swoje koronki mama jej dała, jakże moja suknia będzie przy niej?

— Dziudziu, Dziudziu; ona tak prosiła, ona widzisz taką ma figurę brzydką... Ty i tak jesteś ładna, mój aniołku, i we wszystkiem ci dobrze... Nie bądź zazdrosną; ty wiesz, że ja was obie kocham, że krwi bym ci z serdecznego palca utoczyła.

— Tu chodziło nie o krew, ale o koronki... Jaka ona jest podstępna i złośliwa... Wystaw sobie mama, musiała podedrzwiami podsłuchiwać, bo już, już miał mi się oświadczyć, a tu ona wchodzi jak królowa... No, gdzież jest co do ubrania? ani wody, ani bielizny... Cóż to za suknia? — mówi, podnosząc z krzesła uszyte przez matkę ubranie — jak dla Olenki na wesele do karczmy...

— Nie gniewaj się, Dziudziuniu — rzecze zbliżając się i głaszcząc ją po zadąsanej twarzy — zaraz wszystko będziesz miała. Olena! wody dla panienki... A ja sama pobiegnę do komory po bieliznę... Czego się rozpinasz? w pokoju przeciąg, jeszcze dostaniesz chrypki... nie bój się, suknia ładna...

W salonie tymczasem, pan Stanisław

cały zamyślony stoi w tem samem miejscu gdzie go zostawiła Dziudzia, stoi oniemiały i nieprzytomny, pomimo że Ciucia robi tak czuło sentymentalne miny oczami, iż kamień a nie człowiek mógłby się na to poruszyć. Widząc, że on nic nie mówi, próbuje go sama zaczepić — lecz odpowiada jej półsłówkami, gdyż w myśli jego stoi jeszcze obraz Dziudzi czyniącej mu wyrzuty, za matkę. »Jaka ona dobra, jaka szlachetna... jaki to anioł... — szepcze do siebie.

Ciucia uczuła się obrażoną taką niegrzecznością kawalera, i wyszła ostentacyjnie, a że drzwi salonowe otwarte są na ogród, więc pan Stanisław zapaliwszy papierosa wysuwa się pod werandę okrytą dzikiem winem i siada w kąciku na ławce. Tuż o parę kroków za tą ławką wychodzi okno panieńskiego pokoju, a okno to jest otwarte, więc mimo, że pan Stanisław cały rozmarzony nie wie co się z nim dzieje, to jednak głos panny Dziudzi, przywodzi go do opamiętania.

— Spodziewam się, moje serce, że będziesz prześlicznie wyglądała. Patrz, jak leży stanik... no, obróć się do lustra i zobacz!

— Widzi mama żeby tu były koronki, toby się przód nie fałdował, a tak czemże zapiąć?... Chyba, że mama da mi swoją broszkę brylantową...

— A czemże ja zapnę kołnierzyk?

— Cóż tam mamie czembądź, czyto kto na mamę patrzy... Dla starej osoby wszystko jedno...

— Dobrze, dobrze, dam ci. A cóż matka Stanisława będzie?

— Nie, bo, bo zachorowała smarząc konfitury dla niego... To dopiero jest dobra matka... Wiedząc, że syn lubi konfitury z dereniu, chiała mu zrobić przyjemność i zaziębiła się...

— Każda matka kocha swoje dzieci.

— Eh, bo to prawda.

— Czy ja ci nie uszyłam sukni, moja ty droga, własną ręką, ktoby to chciał...

— Przecież to nie z miłości.

— A z czegoż?

— Ze skąpstwa. Aby nie dać do roboty i nie płacić, mama gotowa wszystko poświęcić, ale gdy idzie o przyjemność...

— Nie dobra jesteś, moja Dziudziu — rzecze na to matka z łagodnym wyrzutem — tyś calutką noc spała sobie wygodnie, a tu już był dobry dzień na dworze, kiedym się położyła... oj dzieci, dzieci, wszystko wam za mało...

— Moja mamo, czy ja prosiłam?

W pokoju ucichło, a po plecach pana Stanisława przeszło takie mrowie jakby go kto zimną wodą oblał. Niedokończony papieros wypadł mu z ręki, twarz pobladła, a oczy zdawało się ze słupem stanęły...

— A to się guzdrzecie, niech was Bóg kocha! — daje się słyszeć tubalny głos pana Klemensa z pokoju — Wańko już zajechał, kawaler się nudzi...

— Niech się nudzi — rzecze przez zęby panna.

— A ty czego płaczesz Domciu? — zapytuje ojciec.

— Ja? nie, zdaje ci się — słychać głos matki. Potem widocznie Dziudzia musiała wyjść z pokoju, bo oboje małżonkowie przysunęli się do okna tak, że pan Stanisław prawie tuż obok słyszał ich szeptanie:

— Może ci zrobiła jaką przykrość, powiedz Domciu, serce!

— Mówię ci, że nie, zaprószyłam sobie oko i wszystko...

— Od niejakiego czasu zrobiła się czegoś tak kapryśna... Mnie oblicza jakie zkąd mam dochody...

— Klemensie, serdeńko, co też ty mówisz!... To takie dobre... Podąsa się czasem, zwyczajnie jak młode... Niech tam... tyle jej szczęścia jak jest w domu... Wiesz Klemciu, źle mi się robi na samą myśl co się ze mną zrobi, jak ona pójdzie za mąż... Pusto nam będzie, mój stary, prawda?

Zajechał Wańko powozem, zajechała i amerykanka pana Stanisława. Gdy przyszło wsiadać, obie panienki zajęły najlepsze miejsca, żeby się suknie nie pomięły, matka usiadła na przodzie...

— Mój papo kochany — szepcze Dziudzia do ojca — ja się tak boję z Wańką jechać... On taki mściwy... niech papeczko siądzie z nim na koźle...

— Nie pleć, ja ci zaręczam, że dobrze powiezie...

— Kiedy papa nie chce, to ja nie pojadę — rzecze z determinacją panna, zabierając się do wysiadania.

— Klemciu, serce, usiądź! — szepcze żona proszącym głosem — ona rzeczywiście się boi, a to takie delikatne... no, no, usiądź na koźle...

— Możeby pan Stanisław — wtrąca Ciucia wychylając główkę z powozu — tak ślicznie powozi...

Dziudzia także spojrzała w jego stronę.

— Nie mam odwagi brać odpowiedzialności za moją jazdę, ja umiem powozić tylko swojemi końmi...

— Niech papko siada — panu Stanisławowi we wszystkiem brakuje odwagi — rzecze złośliwym tonem Dziudzia.

Stary więc taszczy się z trudnością na kozioł i oba ekwipaże ruszają za bramę. Na dworze zaczęło już szarzeć, za wsią tedy, gdzie rozchodziły się drogi, amerykanka zamiast podążać za powozem, skręciła na lewo i popędziła w przeciwną stronę co koń wyskoczy.

Można sobie wyobrazić niepokój i irytację Dziudzi, gdy przyjechawszy do Stepkowa dostrzegła, że nie ma pana Stanisława. Z początku zdawało jej się, że mogło mu się coś w drodze przytrafić i że przyjedzie; lecz gdy podano kolację, a pana Stanisława nie było, uprosiła ojca, aby czemprędzej wracano do domu.

— Nic innego, tylko się obraził — mówi do matki — że Ciucia zaproponowała mu, aby usiadł na kozioł naszego powozu. Zaręczam mamie, że tak jest, i że Ciucia zrobiła to umyślnie... ja ją znam...

Otoż szanowna panno Dziudziu, inaczej rzecz się miała, i gdybyś raczyła nam pokazać list, który przysłał pan Stanisław do ciebie na drugi dzień umyślnym posłańcem, musiałabyś się porządnie zawstydzić. Pan Stanisław opowiedziawszy, jak przypadkowo wysłuchał całej rozmowy panny z matką przy ubieraniu, tak zakończył: »Do samej śmierci zachowam wdzięczność dla pani, żeś mię nauczyła, jak kochać matkę, gdy robi coś dla naszej przyjemności, *nie będąc proszona o to*. Żegnam panią i proszę, prócz tej wdzięczności, wszystko to, co było między nami, uważać za niebyłe...«

— To mama wszystkiemu winna! — odzywa się z wyrzutem Dziudzia.

— Ja, moje serce?

— A tak, mama, bo gdyby mama nie robiła sama sukień, a oddała do magazynu, nie byłoby takiej między nami rozmowy... Mówiłam nieraz już, że to skąpstwo papy i mamy skończy się na tem, że zostaniemy staremi pannami...

— Proszę cię Klemciu, co za impertynencja — dodaje matka — dawać komuś takie nauki!

— Cóż chcesz, nieodrodny syn swojej mamy. A ty się Dziudziu serce nie martw, jak tu jest — mówi klepiąc się ręką po kieszeni — to męża znajdziesz, och, znajdziesz... Pojedziemy na przyszły rok do Krynicy, tam chłopców przepaść i nie takich zyzowatych... jechał go sęk!

KONIEC.

KRONIKA NAUKOWA

PRZEZ

B. ABAKANOWICZA.

Zaczęły się nareszcie próby urzędowe z machiną dynamo-elektryczną pomysłu pana Rychnowskiego. Wypadły one dotąd zupełnie zadawalająco. Pan Schuman na Łyczakowskiej ulicy, dał na użytek pana Rychnowskiego swą machinę parową o sile 6ciu koni, która służyła do obracania machiny prąd wywiązującej. Dotychczas jednak nie było dobrej lampy elektrycznej i dla tego też nie można było wywołać całkowitego efektu, więc ze szczegółowem sprawozdaniem wstrzymujemy się do następnej kroniki.

* * *

Projekt Lessepsa przekopania Panamskiego przesmyku, o którym tylokrotnie pisaliśmy w "Tygodniu" znajduje w Stanach Zjednoczonych bardzo licznych przeciwników, którzy ze względu na interes swego kraju, chcą posunąć linię komunikacyjną bardziej na północ. Nie ulega to wątpliwości, że otwarcie kanału, dla kolei idących w poprzek północnej Ameryki, będzie dotkliwym ciosem, bo ruch towarowy przeniesie się na tańszą drogę wodną. Żeby przewlec całą sprawę, Amerykanie usilnie popierają swój projekt przewożenia okrętów przez Nicaraguę. W samej rzeczy, projekt ten odznacza się wielką śmiałością i oryginalnością pomysłu, jak wszystko, co od Amerykanów pochodzi.

Według tego projektu okręta nie będą płynęły po kanale, lecz będą przewożone na kołach, po torze kolejowym. Kilka szyn, leżących równolegle, ma tworzyć tor, po którym się sunąć będzie wóz odpowiednio zbudowany. Tor ten ma po obu brzegach schodzić w głąb morza na tyle, że okręt na wierzch przypłynie i potem na ląd wywiezionym zostanie.

Za tym projektem agitują wszystkie czasopisma techniczne północno-amerykańskie.

* * * *

Najznakomitszy z nowoczesnych podróżników po Afryce, Stanley, znajduje się obecnie w nowej podróży, która dotąd tajemniczą zasłoną pokrytą była. Po powrocie z ostatniej wielkiej wyprawy, po owem znakomitem przerżnięciu się w poprzek „ciemnego kontynentu“ i po wykończeniu dzieła o tej podróży, Stanley pojechał wprost do Afryki, lecz nie było wiadomo gdzie i w jakim celu. W „Augsb. Allg. Z. znajdujemy teraz bliższe szczegóły o tem pisane przez p. Birghana, które są niezmiernie interesujące i dla tego tutaj je przytaczamy.

Na początku roku 1879 Stanley był w Brukselli na posiedzeniu delegatów międzynarodowego towarzystwa afrykańskiego. Tam dano mu dowództwo nad nową ekspedycją do Afryki środkowej. Stanley przyjął to stanowisko i już w marcu był na wybrzeżach Zanzibaru.

Przygotowania do wycieczki robiono bardzo energicznie, lecz nikt nie wiedział o celu podróży. Kursowały najrozmaitsze domysły. Jedni sądzili, że on poprowadzi ekspedycję na jezioro Tanganyika, inni że wróci do swego ulubionego celu, zbadania górnego biegu rzeki Congo. Za tem ostatniem przypuszczeniem przemawiało szczególniej to, iż przywiózł z sobą mały statek do rzecznej żeglugi i wiele płyt żelaznych z otworami, które służą do ustawiania na pomoście, aby jako ściany chroniły podróżników od strzał i pocisków dzikich.

Przez pewien czas Stanley na swym statku badał wybrzeże Zanzibaru i wjeżdżał do rozmaitych rzek badając ich przebieg. Dziesięć dni zabawił na Kingani. Pod koniec kwietnia pojechał do Dares Salaam, aby tam zbadać ujście Lufidzi. Potem zabrawszy z sobą 64 murzynów, pojechał na północ, lecz o celu jego podróży nikomu nie było wiadomem. Przez długi czas nie wiedziano co się ze Stanleyem dzieje. W tem, w miesiącu lipcu przychodzi wiadomość, iż widziano go na drugiej stronie Afryki, na wybrzeżu zachodniemw Sierra Leone. Stanley więc pojechał na północ, przepłynął kanał Suezki, może Śródziemne i przez Atlantyk dostał się na drugą stronę. Sierra Leone jest angielską kolonią. A gdy anglicy ujrzeli jego statek napełniony murzynami, myśleli że to ma jakiś związek z handlem niewolników i zatrzymali; sprawa wydawała się im podejrzaną, bo nie wiedzieli że to Stanley. Ukrywał się on pod nazwiskiem Swinburna. Dopiero wyjawienie nazwiska rzecz całą wyjaśniło. We wrześniu Stanley dopłynął do Bananu Point, przy ujściu rzeki Congo. Tutaj spotkał statek belgijski, który wiózł przygotowane dlań przez międzynarodowe towarzystwo afrykańskie zapasy i środki do dalszej podróży. Przyniesiono tam także siedm szalup do rzecznej wyprawy. 17. września na czele swej flotylli wjechał Stanley w głąb lądu po rzece Congo. W odległości 130 mil ang. od ujścia założono pierwszą stację.

Cel podróży nowych Stanleya widocznym jest z listu pisanego we wrześniu do jednego z przyjaciół w Anglji. Oto jest dosłowny wyciąg z tego listu: „Przez cały rok bieżący byłem zajęty i ciężko pracowałem. W Zanzibarze urządziłem jedną wyprawę a drugą zreorganizowałem, a następnie zbadałem kilka nieznanych okolic wschodniego wybrzeża. Gdym dokonał tego dzieła ku zadowoleniu tych, którzy mi dali polecenie i memu własnemu, przez morze Śródziemne przybyłem tutaj, do miejsca, gdzie przed dwoma laty i przed dwoma miesiącami, w owym wspaniałym dniu ujrzeliśmy znowu po długiej podróży stary ocean. A teraz przystępuję poważnie i z rozmysłem do nowej missji z potężnym celem przed oczami. Mam polecenie otworzyć dla handlu wszystkie kraje, które zbadać mogę. Misja moja popieraną jest przez pewne filantropijne stowarzyszenie, do którego należą szlachetnie myślący ludzie rozmaitych narodowości. Nie jestto stowarzyszenie religijne, lecz instrukcje mi dane idą w myśl czynu podobnego. Nigdzie siła nie ma być użytą, a tam gdzie missji nie zechcą przyjąć, trzeba odejść i szukać innego pola. Mamy obfite środki i prędzej opłacimy wszelkie żądania, niż gwałtem je wywalczymy. Doświadczenie jednego roku pokaże, jaki postęp może być zrobiony przy użyciu tego nowego systemu. Moje doświadczenia pouczają, iż w niektórych okolicach plan ten cuda zdziała i w samej rzeczy naczelnicy plemion musieliby być nienasyconymi, gdybyśmy ich zadowolić nie mogli. Niech Bóg daje misji naszej wszędzie powodzenie.“

List ten, trzymany wprawdzie w słowach niezbyt jasnych, daje dowód jednak, iż Stanley przedsięwziął najdonioślejszą, ze wszystkich dotychczasowych, wyprawę do głębi Afryki. Chodzi tu o systematyczne zbadanie i otwarcie dla handlu olbrzymiej przestrzeni 860,000 mil ang. kwadratowych, które zajmuje Congo z jego przypływami. O tych okolicach tak pisze Stanley w swojej ostatniej podróży: „Gdy się minie niższe wodospady, ma się przed sobą istotnie pół Afryki bez przeszkód. Jestto olbrzymia płaszczyzna, gęściej zaludniona, niż każda inna część Afryki. Wioski tamtejsze mogłyby być nazwane miastami, z ich długiemi, nieraz parę mil ciągnącemi się ulicami pomiędzy rzędami dobrze zbudowanych domów. Mieszkańcy wszyscy zajmują się handlem i wszędzie są rynki i jarmarki. Zapasy słoniowej kości są olbrzymie, bo to jest kraj świątyń ze słoniowej kości, gdzie wszystkie sprzęty są z tego cennego materjału. Palma olej dająca tam bujnie rośnie, nieraz całemi lasami i wszystkie produkty Afryki znajdują się w bassenie Congo, jest bawełna, gumma, orzechy, kopal, sezam, miedź i złoto. Wiele rzek jest spławnych na znacznych bardzo przestrzeniach. Handlarz jadący po rzece w głąb lądu, więcej ma widoków zjednania sobie krajowców niż badacz płynący po raz pierwszy w dół z rzeką. Musi się on długo zatrzymywać przy każdem głównem mieście, aby zrobić sobie naprzód dobre imię; wyspy na rzece dadzą mu spokojne miejsce odpoczynku i ucieczki.

Zdobycie pokojowe tych stron dla użytku cywilizacji jest zadaniem nowej wyprawy Stanleya.

* * *

Pod koniec ubiegłego roku, bardzo interesujące dla geologów zaszły przewroty w San Salvadorze, spowodowane niezwykłemi trzęsieniami ziemi. Uderzenia podziemne i katastrofy, przychodziły jedne po drugich. Szczególniej okolice jeziora Ilopango, pozmieniały swoją fizjonomją.

21. grudnia trzęsienie wzmogło się bardzo silnie, a huk nieustający, który się przenosił jak wicher, z miejsca na miejsce, przerażał wszystkich mieszkańców. Przez noc okropną było przeszło półtorasta uderzeń, a mieszkańcy opuściwszy mieszkania, przenieśli się na pola.

Przez dni dziesięć powtarzały się te zjawiska słabnąc nieco, to znów przybierając większe rozmiary. Najstraszniejszym dniem, był ostatni dzień roku. Usłyszano huk, jakby wystrzał dział armatnich, i to co z budowli oszczędzonem było przez poprzednie katastrofy, runęło. Trzy razy trzęsło się wszystko w całej Rzeczpospolitej i waliło. W okolicach, wzmiankowanego wyżej jeziora, powstała w dodatku burza, jakiej w tych okolicach nie pamiętano i strumienie wody zmywały i unosiły ruiny i resztki zabudowań. Potworzyły się strumienie, tworzące łożyska nowe. A tymczasem w jeziorze samem zaszło zjawisko niespodziane.

Wody jego, zamiast przybrać, zaczęły niknąć, a gdy burza ustała, ujrzano w środku jeziora kilka stożkowych pagórków, a woda w około kipiała, jakby się gotowała. I rzeczywiście, temperatura jej znacznie się podniosła. Stożki na jeziorze utworzone dymiły się, szczególniej jeden z nich, najwyższy, z którego wznosił się czarny i na kilka mil w około widoczny słup dymu. Środkowy pagórek rósł ciągle w górę, w oczach mieszkańców, a woda z jeziora znikała powoli dalej, ginąc w otwartych szczelinach. Jeżeli tak dalej postępować będzie, to niedługo na miejscu wielkiego jeziora, powstaną same pagórki.

Wulkan środkowy ciągle dotąd jeszcze jest czynnym i wyrzuca masy lawy, popiołów i kamieni. Od czasów jego powstania, trzęsienia ziemi ustały i tylko słychać w okolicach huk podziemny. Pary z siarczanym zapachem szerzą się naokoło w powietrzu i szkodliwie bardzo na zdrowie oddziaływają.

Kilku geologów amerykańskich udało się na miejsce dla dokładniejszego zbadania sprawy.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

(Teodor Jeske Choiński: Straceniec, powieść; Lwów, nakładem i drukiem Kornela Pillera 1880).

Przed laty kilku zaczęły się pojawiać, w poznańskiej „Warcie“ obrazki nazwane „Fantazjami.“ Odpowiednie to było dla nich imię. Obrazki te były istotnie fantazjami. Grała w nich główną rolę młodzieńcza, barwna, choć czasem zbyt jaskrawa wyobraźnia, podobał się czytelnikom język, w którym była pewna siła i wdzięk wyrażenia, chociaż raziła w nich pewna gorączkowość. Autorem tych obrazków był p. Jeske-Choiński.

Jeżeli się nie mylimy w rok później ten sam autor wystąpił z większą powieścią, którą nazwał studjum psychologicznem Była to rzecz ciekawa, w której p. Choiński chciał do gruntu zbadać ludzkie serce. Tytuł jej: „Pierwsza miłość.“ Dla młodego autora zadanie to nie lada. P. Choiński nietylko nie wyczerpał go, ale zaledwie dotknął. Nad znajomością uczuć i namiętności człowieka wziąć musiała jeszcze raz przewagę fantazja i rzekome prawdy psychologiczne autora zmienić w problematy.

Ale fantazja ta jego miała wdzięk swój, kilka scen opisanych z plastyką niezwykłą miały w sobie wiele życia, a całość odznaczała się jasno przeprowadzoną tendencją.

Szkice takie psychologiczno społeczne nadawały się najwięcej do talentu p. Choińskiego; kilka drobniejszych powiastek i nowelek napisanych na ten temat czytały się gładko i przyjemnie, na tem polu mógł się autor „Pierwszej Miłości“ stać poczytnym i ulubionym pisarzem

tem więcej, że w opowiadanie swoje umiał wpleść spostrzeżenia głębsze, a charakterom jakkolwiek z lekka tylko szkicowanym nadać pewne znamiona właściwe. Żałujemy też, że autor w ostatnich swych pracach porzucił to pole zdolnościom swym tak odpowiednie i zamiast nowel pisać zaczął opowiadania z czasów ostatniej walki narodowej.

Na tem tle osnuł p. Choiński swój obrazek „Syn burmistrza“, tudzież świeżo obecnie wydaną powieść: „Straceniec“. O tej ostatniej pragniemy powiedzieć słów kilka.

„Straceniec“ w żaden sposób powieścią nazwać się nie może. Główną rzeczą są w powieści typy, czy charaktery, których tu zupełnie nie ma. Na tle wypadków z powstania r. 1863 występuje wprawdzie kilka rozmaitych postaci, których losy autor powiązał z sobą, ale na pierwszy plan zawsze wyprowadza on sam opis wypadków dziejowych uważając działanie głównych osób tylko za kit czysto zewnętrzny. Swego bohatera przeprowadza on przez obóz Calliera i Taczanowskiego, a skoro raz się tu znalazł, fakta ogólne, znane p. Choińskiemu z opowieści, tak mocno pociągają go ku sobie, że w opowiadaniu ważnych dziejowych wypadków zapomina o nici powieściowej. Jest więc „Straceniec“ tylko opowiadaniem, obrazkiem z czynów powstania, w którym jest kilka bardzo pięknych opisów, że wymienimy tylko bitwę pod Tartakami, ale ani powieścią, ani nawet nowellą nie jest. „Straceńca“ napisanego z młodzieńczym ogniem, nieledwie powiedzielibyśmy z porywczością, czyta się przyjemnie, co więcej, jak zwykle z opowiadania o wielkich czynach, ofierze i poświęceniu odnosi się nawet korzyść wielką, bo zamyka się książkę z pewnem podniesieniem ducha, ale kto zna jej autora z prac dawniejszych, nie może skończyć czytania bez pewnego żalu i wyrzutu, że p. Choiński dawne a właściwsze dla siebie porzucił pole.

B. S.

Pan Tadeusz przełożony na język niemiecki przez Aleksandra Pechnika.

Ostatniemi czasy pojawiają się coraz częściej przekłady arcydzieł literatury naszej na obce języki. O licznych przekładach na język czeski otrzymujemy wiadomości z Pragi. Niemcy pod wielu względami nie bardzo nam przychylni, zaczynają coraz bardziej zajmować się polską literaturą, przekonawszy się, że mamy arcydzieła godne stanąć na świeczniku literatury europejskiej, a jeżeli dotąd nie są tam należycie uznane, rozpowszechnione, to nie z braku wartości, ale dlatego, że nieznajomość języka polskiego w ogóle za granicą, nie dozwala Niemcom, ni Francuzom bliżej poznajomić się z arcydziełami naszej literatury i ocenić jak należy owe skarby twórczej myśli, owe zasoby ideału i potęgę fantazji w nich się zawierającą.

Ale jeżeli słusznie możemy się cieszyć i chlubić, że literatura nasza zyskuje za granicą wobec tamtejszego świata umysłowego przynależne jej stanowisko za pomocą mnożących się przekładów, to z drugiej strony ubolewać musimy, że częstokroć przekłady te bywają dokonane nieudolnie i nie dają właściwego wyobrażenia o duchu i zaletach oryginału, a nawet moglibyśmy i takie wymienić, które prawdziwie po świętokradzku wykrzywiają i oszpecają potwornie arcydzieła do tłumaczenia wzięte. Z tego powodu radzi spotykamy się z każdym dobrym przekładem, oddającym wiernie ducha oryginału, jego myśl zasadniczą i szczegółowe piękności, o ile te w tłumaczeniu w ogóle zachować się dozwalają.

Z wielką też przyjemnością odczytaliśmy ustępy z przekładu na język niemiecki *Pana Tadeusza*, dokonanego przez Aleksandra Pechnika, ogłoszone przy tegoż rozprawie, zawierającej porównanie *Hermana i Doroty* Goethego, pod względem estetycznym z Mickiewicza *Panem Tadeuszem*. Autor roztrząsa najpierw pytanie czy poemat Goethego jest epopeją, wychodząc w zapatrywaniach swych ze stanowiska zasad estetycznych głównie Hegla i Vischera, wykazuje dalej żywioły komiki i patosu zawarte w epicznej sielance niemieckiego poety, a w końcu w trzecim rozdziele rozbiera obszernie *Pana Tadeusza*, ciągnąc porównawczą paralelę pomiędzy nim a Goethego Hermanem i Dorotą.

Dla udowodnienia swych poglądów, przytacza w przekładzie obszerne ustępy poematu, mianowicie naradę w zaścianku Dobrzyńskich u starego Macieja, najazd na Soplicowo, bitwę z Moskalami, wreszcie początek pieśni XII. — prześliczną apostrofę do roku 1812 i ucztę dla armii polskiej, sprawioną w Soplicowie.

Rzecz naturalna, że nie będziemy się tu zastanawiać nad rozbiorem *Hermana i Doroty*. Trafnie wykazuje autor wyższość poematu polskiego jako epopei z tego względu, że obejmuje on o wiele szerszą widownię i większą rozmaitość działających postaci — że przedstawia obraz całego społeczeństwa polskiego, owej epoki stanu jego oświaty, obyczajów i zwyczajów, publicznego i domowego życia, wreszcie nawet tej przyrody, co go otacza i na urobienie tego życia i usposobień wpłynąć musiała. Widzimy tedy, że tłumacz zabierając się do przekładu należycie pojął i odczuł treść poematu, całą, że tak powiem istotę i ducha rzeczy, co jest zawsze pierwszym koniecznym dobrego przekładu warunkiem. Pomijamy to, co o samym poemacie powiada, głównie w tym celu, aby z nim poznajomić publiczność niemiecką, a chcemy jedynie zwrócić uwagę na sam przekład dołączonych jako illustracja rozprawy ustępów. Nie spodziewaliśmy się, aby można z tak doskonałem odczuciem oryginału i we wszystkich szczegółach oddać w obcym języku arcydzieło wielkiego naszego poety, aby wniknąwszy w zamiary autora, w tajemnicę, że tak powiem, jego twórczości, można było poznajomić z nimi tak dobrze niemieckiego czytelnika i tak wiernie skopiowanym kolorytem nałożyć cały ten obraz. Wszystko to dopiero polski czytelnik rozumiejący w najdrobniejszych odcieniach każdą myśl poety osądzić może. Przekład p. Pechnika wiernie oddaje w każdym wierszu nietylko myśl, ale z prostotą wyrażenia także poetyczny wdzięk oryginału, o tyle ma się rozumieć, o ile na to właściwości języka niemieckiego pod wprawnem piórem doskonale władającego nim tłumacza dozwoliły. Pod względem formy użył tłumacz najstosowniejszego zdaniem naszem *rymowanego jambu* ze średniówką na siódmej stopie, najlepiej naśladującego brzmienie wiersza polskiego oryginału. A ponieważ zapowiada w końcu, że ogłosi wkrótce przekład całego *Pana Tadeusza*, ktorego to przekładu ustępy niniejsze mają być próbą, niejako na zwiady w świat puszczoną, przeto chcieliśmy zwrócić na nie uwagę publiczności, aby zachęcić tłumacza do jak najrychlejszego spełnienia rzeczonej zapowiedzi.

Wł. Z.

Kronika Tygodniowa.

(Wybory. Odprawa »Czasowi«. Koncerta Żeleńskiego. Wystawa sztuk pięknych. »Vindobona«.

Od ostatniej epoki przedwielkanocnej, kiedy rogi ulic nosiły na sobie niezliczone plakaty o pstrych barwach, zachwalające doskonałość win i smak wędlin, oraz innych przysmaków, te poczciwe rogi na nowo całe były zalepione, tym razem plakatami przedwyborczemi. Lecz znikła już dawniejsza fantazja autorów tego rodzaju płodów literackich. Nie ma już czułych i patetycznych odezw, w rodzaju owej, za „naszym generałem“, kiedy wzywano każdego, kto jest, „za natychmiastową wojną z Rossją“, do oddania mu swego głosu. Nie było także hec ulicznych, ani muzyki Harmonii, ani wybijania okien żydowskich, słowem spokojnie, jakby od niechcenia, oddawano swoje głosy. Dawny zapał polityczny i dawne siły agitacyjne już się zużyły i trzeba chyba czegoś nadzwyczajnego, żeby wyprowadzić wyborców z apatji.

Od wyborów dawniejszych, ostatnie jedną się rzeczą wyróżniły i dały sposobność skonstatowania interesującego dla nas faktu. Rusini, szukający odrębności narodowej, a piszący się *russkimi* przez dwa ss, postawili swego kandydata, którego na plakatach mianowali jedynym kandydatem narodowym. Otoż zwolennicy tego kierunku, pochodzący od autochtonów tej ziemi, dali tym sposobem możność stwierdzenia ich ilości.

Za ks. Szwedzickim głosowało osób...!

O walce wyborczej i o kandydatach nie będziemy tu wspominali, bobyśmy musieli mówić coś *pro* lub *contra domo sua*. I pan Romanowicz i p. Merunowicz należy do naszych współpracowników od dawnych bardzo czasów i czytelnicy znają dobrze ich tendencje i przekonania.*)

* * *

Do szeregu ciosów, które tak dotkliwie zwaliły się na stronnictwo *Czasu*, a przyszły razem z wracającą wiosną, jakby rzeczywistość razem z przyrodą i ludzi przebudziła z uśpienia, przybył jeszcze jeden. Oto sędziowie przysięgli wystosowali w odpowiedzi na krytykę ich werdyktu, następujące pismo:

„Dziennik *Czas* omawiając w artykule wstępnym z dnia 17. kwietnia b. r. wynik werdyktu wydanego przez Sąd przysięgłych w procesie odbytym w Krakowie o zaburzenie spokojności publicznej, nazywa ten wynik klęską społeczną, polityczną i narodową, faktem deprymującym, epizodem przykrym, bodaj czy nie upokarzającym i niezgodnym z dotychczasowym zachowaniem się wielkiej większości narodu polskiego.

Z uwagi, że werdykt powyższy bez względu na jakiekolwiek pobudki, jedynie wedle sumienia i pod przysięgą wydanym został, poczytują sędziowie przysięgli wyżej wspomniany artykuł jako potępienie ich za to, że się nie dopuścili chociażby krzywoprzysięstwa, byle tylko werdykt w myśl autora tego artykułu wydanym został. Co więcej, w tem potępieniu werdyktu

*) W tej chwili dowiadujemy się, że posłem obrany został P. Tadeusz Romanowicz, a ks. S. otrzymał głosów 79.

leży pośrednio wezwanie przyszłych sędziów przysięgłych, którzyby mogli być w uciążliwem położeniu wydawania werdyktu w podobnej sprawie, aby zagłuszyli swe sumienie, a nawet krzywo przysięgali, a to pod grozą potępienia ich dobrej czci i dobrego ich imienia ze strony autora wyżej wspomnianego artykułu *Czasu*.

Bywają obelgi, które zelżonym zaszczyt przynoszą: zawisło to od osoby, która się obelg dopuszcza. Indywidua mogą puścić w niepamięć obelgi, ale nie wolno tego czynić osobom moralnym, a taką osobą moralną jest Sąd przysięgłych! W imię przeto zelżonej instytucji sędziów przysięgłych, w imię swobody sumienia odpowiedzialnego jedynie przed Bogiem, zastrzegamy sobie prawo żądania zadość uczynienia za tę obelgę i protestujemy najuroczyściej przeciw potwarczym insynuacjom!

Ogółowi zaś publiczności pozostawiamy do ocenienia. czy może przyjąć obojętnie potwarcze twierdzenie zawarte w wyżej wspomnianym artykule *Czasu*, że werdykt wydany wedle sumienia i pod przysięgą, jest aktem niezgodnym z dotychczasowem zachowaniem się wielkiej większości narodu polskiego."

Kraków dnia 18 Kwietnia 1880 r.

E. Mirtenbaum, J. Pakies, A. Siedlecki, Antoni Rozmanith, Fl. Leiter, Franciszek Slęk, J. Mrazek, M. Salb, Stanis. Armołowicz, St. Zawadzki, Bron. Müller.

Głos to poważny, uczciwy, sumienny, pod którego ciężarem rozbić się muszą sofistyczne i cyniczne wykręty *Czasu*.

Na stary wiek tego pisma, przypadki ostatnich tygodni niezmiernie szkodliwie działają. Gdzież się podziała owa pewność siebie dawniejsza i ów ton poważny i sąd z trójnoga, przed którym uginały się polityków naszych głowy? Stańczykowi w smutnych tych chwilach koncept niezbyt dopisuje i z po za jego śmiechu słychać zgrzyt bezsilnej złości. Proszę wziąć do ręki ostatni feljeton niedzielny, o procesie tak zw. socjalistów. Tylko złość bezsilna mogła podyktować tak grubiańskie, tak cyniczne dwuznaczniki, wymierzone przeciw Polkom, które współczuły z niewinnie cierpiącymi. Rzeczywiście, mają rację panowie przysięgli, że są obelgi, które dla obrażonego zaszczyt przynoszą.

* * *

Rozpoczynają się koncerta p. Żeleńskiego. Zwolennicy muzyki rodzimej mają przecież raz sposobność w tym roku nasłuchania się jej do woli. Wystawiono operę Jareckiego, a teraz przychodzi kolej na nowego kompozytora, którego publiczność nasza zna zaledwie z kilku pieśni do nas przez amatorów przyniesionych. W chwili gdy piszemy tę kronikę, odbywa się pierwszy, a w przyszłym tygodniu jeszcze dwa słyszeć będziemy. Tak rzadko się u nas zdarza, żeby koncert był całkowicie wypełniony utworami jednego kompozytora, że niezwykłe on budzi zajęcie. W przyszłym numerze damy o nim szczegółowe sprawozdanie.

Jedną rzecz teraz tylko, przyjemną dla nas, podnieść musimy. Słyszeliśmy pana Żeleńskiego, jak się zachwycał chórami naszego Towarzystwa muzycznego i stanowczo twierdził, że jest najlepszym z chórów polskich; przynajmniej choć jedna jeszcze jest rzecz we Lwowie, najlepsza. Dotąd przyznawano to pierwszeństwo tylko cukierni Rotlendera!

Kiedy już o muzyce mowa, to zanotować musimy fakt, iż odbyło się nabożeństwo żałobne za Henryka Wieniawskiego. Kto był w kościele, tego nie mile uderzył fakt, że nie było tam przywódców naszych lwowskich obozów muzycznych a tylko skromniejsi i mniej głośni artyści, oraz goście z Warszawy.

* * *

W tych dniach zebrać się ma komitet, który się zawiązał w czasie pobytu Siemiradzkiego we Lwowie, celem urządzenia wystawy ogólno polskiej, dzieł sztuki. Sprawa ta, tak długo odwlekana, raz nareszcie będzie załatwioną. Już z rozmaitych stron nadchodziły zapytania od artystów, co się z tem dzieje i tworzono sobie na przyszłość rozmaite projekta.

Bardzo teraz do roboty stosowna jest pora. W przyszłym miesiącu otwiera się wystawa we Lwowie i zapewne wiele artystów przyjedzie, i bardziej ożywione będą stosunki z Towarzystwem sztuk pięknych. Należałoby więc energicznie wziąć się do dzieła.

Nasze poglądy na tę sprawę wyraziliśmy niedawno we wstępnym artykule z nr...., a streszczają się one w tem, że po pierwsze: — nie należy łączyć wystawy ogólnej dzieł polskiej sztuki, z prowincjonalną wystawą rolniczo-przemysłową, powtóre, że wystawa ta ma się odbyć w ostatnich letnich miesiącach przyszłego roku, potrzecie, że ze względów ekonomicznych nie trzeba stawiać osobnego budynku, lecz użyć sal rysunkowych lwowskiej szkoły politechnicznej.

Z posiedzenia komitetu podamy szczegółowe sprawozdanie.

* * *

Warszawskie zbiorowe pismo na dochód Szlązaków, nie może jakoś przyjść do skutku. Domyślaliśmy się że cenzura stoi tam na przeszkodzie. Naprzód z tytułem nie można było dać sobie rady. „Warszawa — Szlązk" nie podobało się, „Na głodnych" także nie trafiało do przekonania, więc nareszcie dano tytył: „Ziarno." Na początek lutego naznaczony był termin nadsyłania manuskryptów, a tymczasem dotąd jeszcze pismo nie pojawiło się wcale.

Inaczej w Wiedniu. „Vindobona" która niedawna nadeszła do Lwowa, zaprojektowaną i do skutku zaprowadzoną została w ciągu trzech tygodni. Najznakomitsze imiona pisarzy austrjackich i artystów oraz takich którzy z Austrją mają coś do czynienia, spotykamy w tem miejscu. Jedno tutaj podnieść musimy, że Polakom dano honorowe miejsce i grzeczność ta zasługuje na uznanie. Na pierwszej stronie Vindobony, znajdujemy imiona: Kraszewskiego, Matejki, Smolki, Alfreda Potockiego, Wodzickiego, Ziemiałkowskiego. Rysunków prześlicznych jest bardzo wiele, a taniość zadziwiająca, cały zeszyt kosztuje wszystkiego 30 ct.

* * *

Od P. A. D. Bartoszewicza otrzymaliśmy pismo następujące:

Szanowny panie Redaktorze!

Tydzień z dnia 28. marca b. r. w kronice tyg. zamieścił kilka uwag o toczącym się obecnie procesie wydanym mi przez p. Gubrynowicza z powodu przedrukowania w *Śpiewniku Polskim* piosnek Bohdana Zaleskiego. Pan Gubrynowicz, nie wiem wskutek jakich kombinacji przyszedł do przekonania, że to ja ten artykuł napisałem, a ponieważ artykuł ten p. G. zirytował, więc wywarł swoją zemstę drukując broszurę o 72 stronicach wymierzoną przeciwko mnie.

Pozwól więc Szanowny Redaktorze pod twoją poręką przedewszystkiem wyjaśnić, iż rzeczonego artykułu nie pisałem, na napisanie nie wpływałem i przed wydrukowaniem go nie czytałem. Że w ogóle od nowego roku żadnego udziału w wydawnictwie i Redakcji *Tygodnia* nie przyjmuję i współpracownikiem nie jestem.

Zarzuca mi dalej p. Gubr. że w skutek mojego wpływu redakcja *Sztandaru i Strażnicy* zamieściła korzystne dla mnie a bardzo niekorzystne dla p. G. ocenienie procesu. Owóż i w tym wypadku p. G. myli się, gdyż w żadnych absolutnie stosunkach z redakcją *Sztandaru i Strażnicy* nie jestem i wcale nie porozumiewałem się z rzeczoną redakcją ani w sprawie procesu ani w żadnej innej sprawie. Tak samo nie wpływałem na „Dziennik polski" i na pisma warszawskie, które o tej sprawie pisały i w ogóle z żadną redakcją nic o procesie nie mówiłem, pozostawiając zupełnie wolny głos opinji publicznej.

Jeżeli wszystkie zdania jakie prasa tak lwowska jak i warszawska w tej kwestji wypowiedziały, potępiły p. G., to możeby był właściwiej postąpił, szukając przyczyny takiej o sobie opinji we własnem postępowaniu.

W broszurze swojej p. G. zamieścił sprawozdanie z procesu, a pomimo iż miał pod ręką stenograficzne zapiski, cały przebieg rozprawy przedstawił fałszywie, nakręcając wszystko na swoją korzyść, a na niekorzść moją. Ponieważ od początku do końca cała broszura p. G. jest na fałszu oparta — uważać ją muszę jako paszkwil i moją odpowiedź na tem ograniczam.

Co do samej sprawy w właściwym czasie wyjaśnię ją publicznie. Racz pan....

Lwów d. 23. kwietnia 1880.

A. D. Bartoszewicz.

Drukując niniejszy list, robimy uwagę, że broszura p. Gubrynowicza, o której pan B. wspomina, jest zbiorkiem tak niedorzecznych elukubracyj, że zasługuje tylko na wzruszenie ramionami.

Uzasadniając to zdanie, przytaczamy końcowy jej ustęp, odnoszący się niewiadomo do kogo:

„Śmiesznym wydać się musi taki terroryzm dziennikarski, który w swych zapędach pseudowolności, przechodzi nawet despotyzm państwowy i godło nowożytne siła przed prawem, dla niego nie ma innej nazwy — jak parodja despotyzmu, w płaszczyku fałszywej wolności"... Ni pies ni wydra, coś nakształt świdra, trzeciego...

Dla własnego dobra p. Gubrynowicza radzimy mu, ażeby się nie bawił w literaturę.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i Nauka.

*** W tych dniach ukazała się na widok publiczny broszura p. Stanisława Bełzy, nosząca tytuł „Karol Miarka, karta z dziejów Górnego Szlązka."

Wyszła również i druga zajmująca praca p. Stanisława Bełzy. Nosi ona tytuł: „Jeden miesiąc w Norwegji" (z dziennika podróżnego.)

Są to przygody osobiste podróżnika opisane skromnie i bez pretensji.

*** Materjały historyczne. Sprawozdanie z dorocznego posiedzenia Towarzystwa historycznego w

Petersburgu zaznacza między innemi wydanie trzech dokumentów dyplomatycznych z czasów Katarzyny II., przechowujących się w archiwum państwa. Wydawnictwo to, nie obojętne dla historyków polskich rozpoczęte przez akademika Piekarskiego, prowadzone dalej przez Groth'a, obecnie znajduje się pod kierunkiem sekretarza Towarzystwa historycznego, Stendman'a Wydany obecnie tom trzeci obejmuje dokumenta od października 1774 do końca roku 1778. Znajduje się w nim między innemi korespondencja tycząca się połączenia Krymu, oraz wysoce ważna korespondencja cesarzowej z Potemkinem. Z tegoż sprawozdania historycznego dowiadujemy się, iż pod kierunkiem jego i Karpowa prowadzi się obecnie druk dokumentów o stosunkach dyplomatycznych dawnej Rosji z Polską. Wydawnictwo rozpoczyna się opisem poselstwa wielkiego księcia moskiewskiego Jana Bazylewicza do króla Kazimierza IV. Jagiellończyka w roku 1488.

⁂ W Berlinie, obraduje dziewiąty kongres chirurgiczny; w dniu otwarcia obrad było obecnych 98 delegowanych z różnych krajów europejskich.

⁂ „Obserwatorjum Nicejskie.“ Miejscowość dla wielkiego obserwatorjum astronomicznego, mającego powstać szczodrobliwością p. Bischoffsheima, obraną została na górze des Mignons, o tysiąc stóp wzniesienia nad Niceą. Przedstawia ona znaczną przestrzeń zakupioną przez możnego protektora nauki.

⁂ „Barometr glicerynowy. Olbrzymi barometr nowego rodzaju ulega obecnie próbom w obserwatorjum Kew, pod Londynem Rtęć zastąpiona jest w nim przez glycerynę, której powierzchnia w zbiorniku pokryta jest warstwą nafty. Rurka jest z ołowiu z wyjątkiem części górnej szklannej, aby zmiany wysokości z zewnątrz widzieć można było.

Sztuki piękne.

⁂ Na wystawie Warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych umieszczone zostały w ciągu ostatniego tygodnia następujące obrazy:

Władysławy Fechner: „Głowa młodzieńca“ (studjum z natury), Władysława Gepnera: „Powodzenie“ tudzież „Niepowodzenie,“ Stanisława Heymana: „Portret,“ Tytusa Maleszewskiego: „Jesień,“ Henryka Piątkowskiego: „Zima w stepach.“ Wojciecha Piechowskiego: „Zaliczenie.“ Franciszka Wastkowskiego: „Łazy na Podlasiu,“ wreszcie wielce sympatyczny obraz Stanisława Witkiewicza „Pożegnanie pułku.“

⁂ W numerze 26 ym wiedeńskiego pisma „Heimath“ znajduje się rysunek przedstawiający Jana Sobieskiego w chwili, gdy po poświęceniu szabli wychodzi z kaplicy N. Marji Panny Częstochowskiej i udaje się pod Wiedeń.

Heimath donosi, iż obraz ten zakupił p. M. Orgelbrand z Warszawy.

⁂ W Poznaniu wystawiono konkursowy dramat Adama Asnyka (Ely.. ego) „Kiejstut“; powodzenie dramatu było świetne.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ Testament Jana hr. Działyńskiego już otwarty. Zmarły zapisał znaczny fundusz na towarzystwo nauk ścisłych, który pozwoli tej tyle pożytecznej instytucji dalszą działalność prowadzić. Spadkobiercą Działyńskiego został jego siostrzeniec hr. Władysław Zamojski.

⁂ „Dobry przykład!“ W galicyjskiem miasteczku Zaleszczykach postanowiono na zgromadzeniu miejscowej resursy nie abonować nadal pisma „Ueber Land und Meer“ z powodu umieszczonych w niem paszkwilów osławionego Emila Franzosa, izraelitę z pod sąsiedniego Zaleszczykom Czortkowa. Inne czytelnie mogłyby śmiało pójść za tym przykładem...

⁂ W Cieszynie, we wrześniu r. b. odbędzie się wystawa szlązka, która budzi żywe zajęcie nietylko na Szlązku, ale też w ościennych prowincjach, mianowicie na Morawie i w północno-zachodnich Węgrzech; równocześnie z wystawą, która trwać będzie od 5-go do 19-go września, nastąpi zjazd przemysłowy, pedagogiczny, straży ogniowych i towarzystw gimnastycznych, oraz śpiewackich, a wreszcie odbędą się wyścigi konne.

⁂ Ze sprawozdania Zarządu pomocy naukowej dla Polaków w Szwajcarji za r. 1879 dowiadujemy się, że w tym piętnastym roku swego istnienia. Zarząd udzielał pomoc jednorazową lub miesięczne subsydja siedmiu uczniom Polakom, z których jeden doktoryzował się w Niemczech, a drugi z nich kończy studja techniczne. Dalej wspomina zarząd, że dopóki znaczny legat na ten cel przeznaczony przez jednego z patrjotów polskich nie dozwoli działać w większych rozmiarach, zarząd musi ograniczać się na dawaniu kilku tylko uczniom pomocy, bez której ci nie byliby w możności dalszego kształcenia się. W końcu użala się zarząd że z 50ciu młodych ludzi wykształconych przez instytucję naukowej pomocy w Szwajcarji mało który znalazł pomieszczenie w Wielkopolsce lub w Galicji, i wszyscy muszą szukać chleba na obczyźnie.

Majątek tej instytucji w roku 1878 wynosił 1523 fr., przychód zaś w r. 1879 składał się jedynie z daru księżnej C w ilości 741 fr. Rozchody wynosiły w r. 1879 fr. 1190, na rok bieżący więc pozostało kapitału 1120 fr.

Sprawozdanie powyższe podpisał hr. Wład. Plater i E. Jandolt profesor szkoły politechnicznej.

⁂ W Berlinie, pod prezydencją księcia Hohenlohe-Langenbourg ukonstytuowało się towarzystwo anglo-niemieckie. Celem tego towarzystwa jest dokładniejsze poznanie Anglji w Niemczech, a Niemiec w Anglji, zniszczenie przesądów narodowych i przygotowanie serdecznej zgody pomiędzy dwoma narodami tej samy rasy. W mieście założone zostaną sale do czytania, w których podróżni znajdą wskazówki i możność wejścia w towarzystwa nie mieckie. Pomiędzy członkami nowego towarzystwa znajdują się ludzie znani w literaturze, naukach i polityce

⁂ W tych dniach odbywały się w „Agricultural-Hall Islington“ wyścigi welocypedowe. Warunki wyścigów stanowiły bieg od szóstej rano do dwunastej w południe przez sześć po sobie następujących dni. Do walki stanęło sześciu Anglików i trzech Francuzów. Zwyciężył Terrout, przebiegłszy o 190 kilometrów więcej niż po nim idący. Zwycięzca przebiegł w przeciągu dniu 262 mil, czyli 422 kilometrów.

⁂ „Daily Chronicle“ zaznacza szybką przeprawę dokonaną okrętem z Anglji do Australji; parowiec „Sorata“ przebiegł przestrzeń z Plymouth do portu Adelaidy w trzydziestu siedmiu i pół dniach.

⁂ Gasteiński zakład kąpielowy obchodził 7. b. m. 1200-letnią rocznicę odkrycia źródeł.

⁂ Wierzytelności państwa Rossyjskiego. Z z urzędowego sprawozdania rosyjskiego ministra finansów, czerpiemy ciekawe dane o wierzytelnościach państwa rosyjskiego w roku 1878.

Z początkiem owego roku było więc zapisanych do księgi wierzytelności państwa: długów terminowych i bezterminowych, wewnętrznych i zewnętrznych 88,318.000 hol. guld., 46,468.500 f. szter., 123,970.730 rub. met. i 774.667.404 rub. kred.

W r. 1878 wciągnięto do kontroli nowy dług wewnętrzny pięcioprocentow. w wysokości 300,000.000 rub. kred; zamortyzowano zaś z dawniejszych długów: 1,871.000 hol guld., 720.000 Ł., 1,386.200 rub. met. i 5,940.971 rub. kred.

W ten sposób z początkiem r. 1879 suma długów wciągniętych do księgi wierzytelności państwowych wynosiła: terminowych zewnętrznych: 86.447.000 hol. guld., 26,582.400 Ł., 11.922.500 rub. kred.. terminowych zewnętrznych: 808,862.550 rub. kred. i 46,232.400 rub. met.; bezterminowych zewnętrznych 19,165.100 Ł., 76,350.030 rub. met. i 50.670.115 rub kred.; wreszcie bezterminowych wewnętrznych: 199,271.899 rub. kred.

Razem z początkiem 1879 r. suma długów była 86,447.000 hol guld, 45,748.500 Ł., 122,582.439 rub met. i 1,068.726.433 rub. kred.

W rezultacie w roku 1879 ogół wierzytelności państwowych zwiększył się o 282.817.609 rub. kred.

Prócz jednak długów zapisanych do księgi państwowej na skarbie ciężą jeszcze następujące wierzytelności:

a) Bilety skarbu państwowego, których w roku 1878 było w obrocie 72 serje po 3,000.000 rs. każda, razem na 216,000.000 rs., liczba seryj pozostała bez zmiany z tą tylko różnicą, że zamiast seryj od CXXXIX do CL włącznie, których termin amortyzacji upłynął, wypuszczono nowe serje od CCXI do CCXXII na takąż sumę.

b) Krótkoterminowe obligacje skarbu państwa (czteroprocentowej), których wypuszczono trzy serje każda po 50 000,000 rs., dla zwiększenia czasowo funduszów skarbu, z powodu znacznych wywołanych przez wojnę wydatków; dwie serje krótkoterminowych obligacyj, w sumie razem 100,000.000 rs., zostały wykupione z nastąpieniem terminów, ostatnia zaś z końcem roku pozostawała w obiegu.

c) 4% obligacje Królestwa Polskiego, które wynosiły 20,707.717 rs. a z końcem roku wskutek amortyzacji zmniejszyły się do 20,271.709 rs.

d) Należności Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu w Królestwie Polskiem, Bankowi polskiemu i innym zarządom oraz osobom; te dochodziły do 3,823.296 rs., wskutek zaś właściwej amortyzacji suma ich zmniejszyła się z końcem r. do 3,026.343 rs.

e) Konsolidowane obligacje rosyjskich dróg żelaznych, których było z początkiem roku pięć emisyj na 68,656.650 Ł, z końcem zaś na 68,567.150 Ł.; amortyzowane były owe obligacje przez losowanie.

⁂ Z okazji 50-ej rocznicy niezależności Belgji odbędą się tam dwa kongresy: handlowy i przemysłowy oraz typograficzny.

⁂ Senat amerykański przyjął projekt, dotyczący urządzenia w Nowym Yorku międzynarodowej wystawy w roku 1883.

⁂ Produkcja papieru w stanach Zjednoczonych ma stanowić obecnie trzecią część produkcji całego świata. Wynosi ona dziennie około 45.000 cetnarów, a rocznie 16,000.000. Papierni jest tam dziś 927, zajmujących 22.000 robotników.

Podróże.

⁂ *Arabia środkowa.* Na posiedzeniu londyńskiego towarzystwa geograficznego z dnia 8. grudnia zeszłego roku pan W. S. Blunt miał odczyt o swojej podróży po Arabii środkowej, odbytej wraz z małżonką podczas zimy 1878—1879 roku. Z Damaszku p Blunt przez góry Hanran i wzdłuż Wadi Sirkanu przyszedł do Dżjofu, liczącego najwyżej 7000 mieszkańców, kiedy Palgzare na 28,000 liczbę ich podawał. Ztąd przez piaszczystą pustynię Nefud (11 dni drogi) dostał się do Dżebel Szammar, którego góry, pod względem charakteru i roślinności, przypominają Synaj. Rezydujący w Hail emir Dżebel-Szammaru, zdaje się być obecnie, po rozpadnięciu państwa Wahabitów, najpotężniejszą osobistością w Arabii. Powszechnie przyjętej sławie koni z Neżdydu pan Blunt zaprzecza stanowczo; żadna szczególna ich hodowla tam nie istnieje i konie z Nedżydu niczem nie różnią się od koni Beduinów północnych. Są one małe, a nawet bardzo rzadkie. Można z końca w koniec przejechać cały półwysep arabski i nie spotkać żadnego, bo u beduinów wielbłąd jest zwierzęciem powszechnie do jazdy używanem. Podczas podróży powrotnej przez pustynię Nefud do Meszed-Ali i Bagdadu, p. Blunt nauczył się cenić szarańczę, jako materjał pokarmowy. Suszoną albo pieczoną jedzą ją tu wszędzie zwierzęta, nawet psy i konie; w wodzie gotowana, mianowicie gatunek czerwony, stanowi również i dla człowieka bardzo smaczne pożywienie, roślinnego smaku. Bierze się ją za skrzydła, obłamuje długie nogi, macza głowę w soli i zjada całkowicie. W pewnych porach roku pustynia Nefud pokrywa się dosyć bogatą roślinnością, a wtedy ożywia ją mnóstwo ssących, ptaków, gadów i owadów.

⁂ Do Kolonji powrócił w tych dniach z dwuletniej podróży naukowej po Ameryce południowej Rudolf Falb, znany meteorolog i astronom. Zajmował on się głównie badaniem wulkanów kordyljerskich. Z rezultatu swych badań Falb zdaje sprawę w publicznych odczytach.

Odkrycia i wynalazki

⁂ Z Pompei donoszą: Przy rozkopywaniu gruzów znaleziono posążek bronzowy, pół metra wysoki, przedstawiający fauna, wylewającego wino ze

skórzanego naczynia, które trzyma pod pachą. Wykonanie posążku jest wyborne i przewyższa słynnego „Silena“, a mało się różni od znanego „tańcującego fauna“. Doskonale zachowana jest plastyka posążka, pomimo pokrywającej ją warstwy popiołu.

*** Do „Nowoje Wremja“ donoszą z Szenkurska, w gubernji archangielskiej, iż nieopodal miasta odkryto bogate ławy piasku złotego; dla eksploatacji tego produktu zarządzono odpowiednie środki.

*** *Sztuczna wanillina.* Ile razy chemicy na drodze syntetycznej zdołają wytworzyć sztucznie jakąś materję dobrze jnż zkądinąd znaną, tyle razy spotykają opozycję ze strony niedowiarków, którzy niczem przekonać się nie dadzą, że sztucznie otrzymany produkt całkowicie jest identyczny z rodzimym. Tymczasem o sztucznej wanilinie prof. Meidinger w dzienniku „Badische Gewerbe-Zeitung“ odzywa się jak następuje:

Wanillina sztuczna posiada wyższość niezaprzeczoną nad wanilią rodzimą. Ta ostatnia łatwo traci swój aromat i często zupełnie wietrzeje, kiedy pierwsza może być przechowywaną nieograniczenie bez najmniejszej zmiany w przymiotach. Dobroć wanilii rodzimej bywa rozmaita, wedle procentowości waniliny zawartej w strączkach; woń więc jednostajna tylko przy użyciu czystej wanilliny otrzymywaną być może. Strączki waniliowe zawierają nie więcej nad 2 % cennej materji wonnej, obok 98 % lub więcej materji bez wartości, a nawet szkodliwej, barwnikowej i żywicznej, której wydalenie jest kłopotliwe i trudne, zanim czysty aromat się otrzyma. Wypadki chorobliwe, jakie niekiedy spostrzegano po użyciu lodów wanilowych, należy przypisać prawdopodobnie zanieczyszczeniom, istniejącym w samychże strączkach. W Niemczech sztuczna wanillina mięszana jest z cukrem i przechowywana w paczkach rozmaitej mocy dla odpowiedniego użytku. Przygotowana dla fabrykantów czekolady jest 70 razy mocniejsza od dobrej wanilii, a jedna jej waga wyrównywa 50 takimże wagom najlepszej. Na użytek domowy sprzedaje się w paczkach odpowiadających jednemu strączkowi i kosztuje około 15 centów na naszą monetę. Esencja wanilowa dla fabryk likieru zawiera 2 % wanilliny, a dwa jej grammy (około pół drachmy) wystarcza dla nadania zapachu kwarcie likieru. Dr. Meidinger używał sztucznej wanilliny we własnym domu i mówi o niej z doświadczenia, jak niemniej z naukowej znajomości sposobu jej przygotowywania i składu chemicznego.

Zjawiska przyrody.

*** Według telegramu z Tokio do „Timera, w Japonji dało się uczuć silne trzęsienie ziemi.

*** Etna wstąpiła wstan normalny. Śniegi pokryły znowu szczyt gór. Zamierzona jest wycieczka do wielkiego krateru, celem poczynienia obserwacji nad zmianami spowodowanemi przez ostatnie fenomeny.

*** Ze wszystkich miejscowości Europy, zima sroży się jeszcze tylko w Petersburgu i w Konstantynopolu.

ROMANS z ŻYCIA.

Jakiś bezimienny niemiecki pisarz wydał świeżo książkę noszącą tytuł «Karolina von Linsingen, małżonka angielskiego księcia. Nieogłoszone listy barona von Reichenbach.» Głównymi bohaterami tego romansu wziętego z rzeczywistości jest angielski król Wilhelm IV i Karolina von Lisingen. Dowiadujemy się z niego o rzeczach, których nawet nie wygrzebał Vehse, ów znany historyk dworskich skandalów, a mianowicie że Wilhelm IV będąc jeszcze tylko księciem Clarensu, poślubił Karolinę von Lisingen, córkę hanowerskiego generała i że następnie Karolina ulegając namowom matki księcia, przystała na rozłączenie, lecz zawsze żywiła gorącą miłość dla swego małżonka. Ale na tem nie kończy się jeszcze ta dziwna historja: teraz dopiero następuje szczególnie zajmujący epizod. W dwudziestym siódmym roku życia, Karolina ulega ciężkiej nerwowej chorobie; wskutek której wpada w letarg.

Młody doktor Meineke bierze ją w kurację, wylecza z choroby i prosi o jej rękę. Po długiem wahaniu zostaje Karolina jego żoną. Meineke nie ma żadnej praktyki lekarskiej, zostaje więc przy pewnej fabryce perkali farbiarzem z pensją 750 guldenów rocznie. W tak smutnych okolicznościach żyje Karolina około dwudziestu lat, wydaje na świat dwoje dzieci i znowu oddaje się zakazanej miłości. Tym razem przedmiotem jej sentymentów jest mąż jej córki, Henryety, Teubner.

Z pomiędzy listów znalezionych w pismach barona von Reichenbach, najciekawszymi są te, w których Karolina opisuje Teubnerowi swego królewskiego kochanka i małżonka.

Wszyscy aktorzy tego dramatu nie żyją już więcej. W 1825 roku zmarł Teubner w Blansko, 1832 Meineke jako kustosz przyrodniczo-historycznego muzeum w Brün, a 1843 Henryeta Teubner w Gratz. I Reichenbach nie jest już przy życiu; wszystkie te listy znaleziono w pozostałych po nim papierach wraz z objaśnieniem, w jaki sposób one się do niego dostały.

Baron von Reichenbach zajmował się naukami przyrodzonemi i przemysłem. Jedna z jego podróży zaniosła go do Morawii, do posiadłości «altgrafa» ze Salmu. Tu poznał on w Blansko zarządzającego kopalniami Teubnera i jego młodą piękną żonę, w Lettowitz zaś jej ojca owdowiałego doktora Meineke. Ponieważ Reichenbach różne swe przedsiębiorstwa robił wspólnie z «altgrafem», wszedł on w bliższe stosunki z Teubnerem i Meinekem, dowiedział się od nich o dziejach Karoliny i otrzymał w końcu owe listy w prezencie od pani Teubner. Według Reichenbacha najwybitniejszemi cechami charakteru i życia Karoliny są: «poezje w duchu Klopstoka, listy pełne dowcipu i uczucia, przypominające czasy werterowskie, szczególna choroba, skłonność do lunatyzmu i letargu, tragiczny kontrast jej wrażliwej natury ze smutną rzeczywistością, walka wzniosłej duszy z zewnętrznym światem, dobrowolne zaparcie się samej siebie i smutny koniec.» W biografii Karoliny gra król Wilhelm jakąś dwuznaczną rolę. On ją kocha, ale od chwili gdy chcą go z nią rozłączyć, nie sprzeciwia się temu, a tylko pozostawia jej własnemu wyborowi, czy chce pozostać jego żoną. On musiał zresztą znać marzycielską naturę Karoliny i wiedzieć, że zgodzi się na rozłączenie, jeśli je w świetle szlachetnego czynu przedstawią. Że zaś sam nie chciał w tej sprawie decydować, to dowodzi, iż był słabego charakteru. W kilka lat później porzucił swą kochankę, Dorę Jordans, z którą miał dziesięcioro dzieci, aby mógł wejść w związki małżeńskie z księżniczką Adelaidą Sachsen-Meiningenską. Stosunek z Dorą Jordans trwał od 1811 r; w tym to czasie poślubił był Karolinę, co już rzuca na niego bardzo niekorzystny cień.

Ojciec Karoliny generał-leitnant von Linsingen, żył w przyjaznych stosunkach z domem książąt Meklemburg-Strelitz; on to towarzyszył księżniczce Zofii, gdy ta udała się do Anglii, by poślubić Jerzego III-go.

Tu zjednał on sobie łaskę króla i żył przy dworze angielskim trzy lata. Gdy trzeci syn króla Jerzego wyjechał do Hanoweru, von Linsingen był znowu jej towarzyszem. 13. kwietnia 1790 roku ujrzała Karolina pierwszy raz Wilhelma i wkrótce zaczęli oni żywić do siebie gorącą miłość. Ojciec Karoliny spostrzegłszy to, starał się kochanków rozłączyć. W tym celu pisał on do królowej angielskiej, zwierzając się ze wszystkiego. Królowa jednak uważała całą tę sprawę za rzecz małej wagi, sądziła ona, że idealne uczucie księcia do Karoliny zabezpieczy go od rozpusty. Jak dalece się królowa myliła, dowodzi to, że już 21. kwietnia 1791 roku kochankowie tajemnie się poślubili. Szkocki duchowny, imieniem Parsons, dopełnił tej ceremonji w ustronnej kaplicy w obec kilku wtajemniczonych świadków. Przez cały rok był ten związek czysto platonicznym; w trzynaście miesięcy po ślubie poczuła Karolina, że zostanie matką. Wtedy to stary Linsingen napisał znowu do królowej i rozdzielił małżonków. Wilhelm usiłował sobie potem życie odebrać, czemu przeszkodził ojciec Karoliny. Wreszcie Linsingen udzielił swego zezwolenia pod tym warunkiem, że książę uda się do Angiji i ztamtąd przywiezie decyzję rodziców. Książe wyjechał do swej ojczyzny. Karolina została przywiezioną do Driburgu, gdzie wkrótce zachorowała. Tu przybył następnie Wilhelm z listem od królowej, który odbierał Karolinie wszelkie nadzieje. List ten miał swój wpływ; młoda para nigdy się już nie połączyła. Gdy zaczęto Karolinę przekonywać, iż muszą się koniecznie rozdzielić, zgodziła się na rozwód. Na 1795 rok przypadła jej nerwowa choroba i letarg. Z pomiędzy lekarzy jeden tylko d-r. Meineke nie wierzył w to, aby umarła. Dzięki jego staraniom odłożono pogrzeb i przypuszczenia jego nie były mylne. «Straszne, okropne — opowiada Reichenbach» — było położenie Karoliny. Podczas tego odrętwienia była zupełnie przytomną i słyszała każde słowo, które w jej obecności mówiono. Słyszała ona stanowcze oświadczenie lekarzy, iż niewątpliwie nie żyje, słyszała wszystkie przygotowania do pogrzebu. Płacz jej krewnych, prośby d-ra Meineke, żarty lekarzy — wszystko to dochodziło do jej uszu.

Tymczasem nie mogła ruszyć żadnym członkiem ciała ani dać najmniejszego znaku, że żyje. Nic więc w tem dziwnego, że odtąd uwielbiała doktora Meineke, który był jej zbawcą. Cała też rodzina Karoliny zaczęła ubóstwiać tego lekarza. Pełna głębokiej wdzięczności i uznania dla niego, oddała się temu człowiekowi, który ją ocalił i powrócił nowe życie, Została żoną Meinekego.»

Ze swym nowym małżonkiem podróżowała Karolina z Hanoweru do Berlina, z Berlina do Blansko, szukając z nim razem korzystnej praktyki lekarskiej. Wyżej już wspomnieliśmy, czemu w Blansko Meineke się poświęcił. Że Karolina czuła się szczęśliwą przy boku swego nowego męża, dowodzą jej listy pisane do brata Ernesta, zięcia Teubnera księcia Wilhelma. Z pisma datowanego w 1795 r., a pisanego do księcia przekonywamy się, że Meineke znał tylko niedokładnie przeszłość swojej narzeczonej. «Mój przyszły mąż — pisze ona — wie, że kochałam, ale nie zna przedmiotu tej miłości. Jest to dziwne, gdyż nasza tajemnica, zdawała się nam tylko tajemnicą, a dosyć głośno mówił cały świat o tem, co nasze oczy ciągle zdradzały. Lecz nie usłyszy on nigdy z mych ust tego imienia, które w uścisku z tobą z warg mych spływało.»

Inny list kończy Karolina temi słowy: «Jeszcze jedno muszę ci powiedzieć. Wiem dobrze, wiem z całą pewnością, że ty byłbyś w stanie mnie znowu publicznie uznać za swą żonę. Znam dokładnie wszystko to, coś dla mnie dotychczas uczynił i do czego jeszcze jesteś zdolnym. Nie bojaźń, nie wzgląd jakiś każe mi teraz tak postępować jak postępuję. By cię o tem przekonać, dołączam list twego wuja, dostojnego księcia Glocestru, który otrzymałam wiosną. Nieszczęście twoje wzruszyło mnie i o mało nie skłoniło, bym cofnęła swe słowo. Widzisz w jak ognistych kolorach opisuje mi on swe szczęśliwe pożycie przy boku swej żony Marji, córki rycerza Walpole. Ale właśnie ten list utrwalił mnie w postanowieniu nigdy twą znowu nie zostać, gdyż mi pokazuje, jakich ofiar trzeba było ze strony księcia, by mógł zostać bogatym małżonkiem szlachetnej Angielki. A jam Niemka, obca, ty — najukochańszy syn monarchy, nadzieja narodu, następca tronu. O! muszę uczynić tę ofiarę, choćby to życie mnie kosztowało.»

W liście do Ernesta pisanym w r. 1806, cieszy się Karolina z tego, że syn jej Henryk tak podobnym jest do księcia. W innym liście pisze: «Co by się ze mną stało, mój dobry chłopcze, gdybym się nie przezwyciężała i rozumnie nie stosowała do okoliczności. Przytem pracuję umysłowo. Ta praca ratuje mnie jeszcze, bo zwykłe, codzienne, ciągle powtarzające się domowe zajęcia zabiłyby twą biedną Karolinę.»

W takim tonie pisane są wszystkie listy. Z nich przemawia marzycielska dusza, usiłująca rozerwać pęta ziemskich powszednich praw. A jednak ta dusza spętana była temi więzy tak silnie, iż nie mogła przenieść straty krótkiego ziemskiego szczęścia.

Treść Nr. 17.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.